



Wiktor
Gomulicki

Świątka

OSTOJA 1919 POZNAŃ

WIKTOR GOMULICKI

ŚWIATŁA

NOWY ZBIÓR POEZYJ

ZAWIERAJĄCY UTWORY DAWNYMI
ZBIORAMI NIE OBJĘTE



POZNAŃ 1919.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ „OSTOJA” W POZNANIU.





CM314698

OKŁADKA I RYSUNKI J. J. WRONIECKIEGO. 6 CZCIONKAMI
DRUKARNI KATOLICKIEJ TOW. AKC. W POZNANIU

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 156 /2011/ CM



C Z E Ś C
P I E R W S Z A



Hymn Zmartwychwstającej Polski.

JEDEN GŁOS.

Niech zabrzmie pieśń! Niech hymn wspaniały
O nieba trąci sklep!
Niech mu zawtórzą karpackie skały,
Litewski bór, Bałtyku wały
I ukraiński step!

CHÓR.

Płyn z polskich piersi, głosie miljonów;
I najpierw: ludu wyśpiewaj ból,
Pamięć mąk długich, męczeńskich zgonów,
Każni w podziemiach, grobów wśród pól!

PARLANDO. (Głosy przyciszone).

Ojcom wydartym rodzinie,
Synom poległym bez bitwy,
Żyjącym w duchów krainie,
Słyszającym te modlitwy,
Których krew żyzną była
I rodzajną mogiła —
Pokój... pokój... pokój...

JEDEN GŁOS.

Nie zawsze mrok sępów skrzydłami
Polakom słońce ćmił;

Kłękały niegdyś ludy przed nami,
Darzył nas Bóg i tryumfami
I pełnią ziemskich sił.

CHÓR.

Chwało pradziadów, wzmacniaj prawnuki!
Słońce! przyświecaj z historii kart!
Przez Grunwald, Chocim i Wielkie-Łuki,
Mówcie, co wolny Polak był wart!

PARLANDO.

Dotąd żelazo i ołów
Czynią, że wróg nas słucha;
W przyszłości — śladem aniołów,
Ujmiemy oręż ducha.
Zbrojnym w duchowe męstwo
Bóg da ostatnie zwycięstwo...
Chwała!... chwała!... chwała!...

JEDEN GŁOS.

Kto świat ukochał, nie zna co wrogi,
Nikomu nie będzie złym.
Do światła wszystkim otwarte drogi...
Tyranów ludy niech zbęda trwogi:
Wolność i nam i im!

CHÓR.

Przez noc i burzę, Orle z Pogonią,
W górę, ku słońcu, kierujcie lot!
Polsce narody znów się pokłonią,
Gdy zwalczą ciemność, chaos i grzmot.

PARLANDO.

Spraw, Panie, by nasze czyny
Nie znały grzechów plamy,
I odpuść nam nasze winy
Jako my odpuszczamy;
Nie wódź nas na pokuszenie,
Od złego daj zbawienie —
Amen!... amen...! amen!...

JEDEN GŁOS.

Stwórcu! Ty wiesz, że Polskie dzieje
Wolne od plam i skaz;
Choć się ofiarnie krew nasza leje,
Ty zdziałasz cud, i jak Hebreje
Z puszczy wywiedziesz nas.

CHÓR.

Boże Jagiełłów! Boże Batorych!
Weź pod swe skrzydła wierny Ci kraj,
Uzdrow wąpiących, podźwignij chorych,
Zwycięztwo w Prawdzie Polakom daj!

JEDEN GŁOS.

Zabrzmiała pieśń — i hymn wspaniały
O nieba trącił sklep.

CHÓR.

Oto mu wtórzą karpackie skały,
Litewski bór, Bałtyku wały
I ukraiński step!

„Jeszcze Polska nie zginęła...”

Jeszcze Polska nie zginęła
I zginąć nie może,
Bo jej spełnić wielkie dzieła
Każą sądy boże.

Niestartemi na sercach głoskami
Wypisano wyroczne to słowo,
Co zamieszka ciałem między nami,
Gdy już mękę przetrwamy czyśćcową.
Najpóźniejsi z ludów Europy
Przynieść mamy jej dobrą nowinę,
Złożyć w darze swego żniwa snopy,
Z nią podzielić swe dobro jedyne.

Po to-śmy trzy dni na krzyżu konali,
Po to-śmy z ognia wynieśli hart stali,
Po to-śmy octem i żółcią pojeni,
By nową gwiazdę zapalić w przestrzeni.

Były z nas pilne do ksiąg pacholęta,
Byli z nas żwawi do korda młodzieńce,
Dobrze Europa jeszcze to pamięta,
Żeśmy zbierali za szlachetność wieńce;
Dziś, już dojrzali, w równej z tamtem mierze.
Jesteśmy twardzi o wolność szermierze.

Za młodocianej, burzliwej doby
Wszystkiem nam była wolność osoby;
Mądrość zdobywszy jeszcze za młodu,
Ubóstwiliśmy wolność narodu;
Dziś świętsze hasło w piersiach naszych gości,
Wolność dla wszystkich! wolność dla ludzkości.

Jeszcze ofiarnik w słowiańskiej kontynie,
Odgadłszy duchem wiedzę Chrystusową,
Tchnął w naszych ojców wielmożne to słowo,
Które dziś ze krwią w żyłach naszych płynie.

Gardzimy chleba obfitością
I władzy gardzimy potęgą —
Z niebem wiążącą nas wstęgą:
Sen o powszechnej wolności.

W narodach starych stygną często serca,
Każdy z nich często jest słabszych poźerca,
Wszystkiem dlań: sytość, wygoda i skarby —
Im Polska młoda, niosąc słowo boże,

Innemi odtworzy farby
Dnia wschodzącego zorzę:
Zaszczepi mir, braterstwo, zbożność, poświęcenie,
Rozwidni samolubstwa pogańskiego cienie,
Na miejscu Merkurego, Marsa i Plutusa
Wielbić przykaże — Chrystusa!

Gdy jej pełnić wielkie dzieła
Każą sądy boże,
Jeszcze Polska nie zginęła
I zginąć nie może.

Mity.

Pigmalionowe kochanie.

Wszystkie marzenia, wszystkie ducha wzloty,
Zmysłów niepokój, krwi młodzieńczej burze,
Zaklął Pigmalion w precudnym marmurze —
Marmur w nim zbudził szal żądz i tęsknoty.

„Ożyj! — zawoła. — Miej rumieńców róże!
Niech ci wiatr wzruszy lekkie włosów sploty!“
Stało się — w pannę wciela się sen złoty,
Do ust mu miłość chyli miodu krużę.

Z ciebie, o Polsko! wieszczów twoich pieśni
Statuę martwą zdziałały, choć piękną...
Proś Boga, niech cię znowu ucieleśni.

Gdy więzy czarów romantycznych pękną,
I wyjdiesz z kształtów marmurowych cieśni
Żywa — narody przed tobą uklęką!

Orfeusz i Eurydyka.

Orfej, król pieśni, żałośnymi jęki
Pól Elizejskich budzi głuszę dziką.
„Gdzieś ty, me szczęście? Gdzieś ty, Eurydyko?
Ozwij się, ukaż — lituj mojej męki!”

Przed nim wciąż Fatum, dla większej udręki,
Miga jej białą, widmową tuniką.
„Stój! mego życia kwiecie i muzyko!
Bez ciebie-m — ślepiec bez przewodniej ręki!...”

Tak wy, z Ojczyzną w smutnem rozłączeniu,
Niebo jękami rozzdzieracie swemi . . .
„Nigdyż pochwycić nam się nie dasz, cieniu?...”

Lecz wróg wymazał Polskę z kart, nie z ziemi —
Więc, gdy trwa dotąd, czemuż w zaślepieniu,
Szukacie żywej między umarłemi?

Dafne.

Dafny, panienki, Penejowej córy,
Poziomą żądzą zapragnął Apollo.
(I bogi czasem bezecnie swawolą) —
Pieśnią ją wabi, biegnie za nią w góry.

Ojciec nad dziecka użalił się dolą:
W laur ją przemienia. Wnet, prawem natury,
Lic jej nie widać z pod chropawej skóry,
Bóg chwyta drzewko — gałązki go kolą.

Tak car, bezpiecznych pod Francyi namiotem,
Wabił wychodźców amnestyą, co kłamie,
W wilczym uścisku chcąc ich zdusić potem.

Lecz hufiec wieszczów moc despoty łamie,
Rosnąc pod niebo laurów żywopłotem,
Dokąd już carskie nie dosięga ramię.

Ikar.

O żądo lotu! ty, którą rozpala
Geniusz wyzwolin, albo demon pychy!
Niegdyś twój podstęp zdradziecki i lichy
Zabił Ikara, obłąkał Dedala.

Złota żar nie tknie — stopi wosk i szychy;
Zuchwalców chłonie ogni wiecznych fala,
I zawsze śmiałka Apollo obala,
Co sztucznem skrzydłem błękit chce pruć cichy.

O duszo polska! I ty pod swe włości
Zagarnąć pragniesz niebo z ziemią społem,
Lecz próżno w tobie Ikara myśl gości

I skrzydła marzeń przyklejasz z mozołem...
Aby dolecieć do słońca wolności,
Musisz być razem: orłem i aniołem.

Polifem.

Szczęśliwszej pary nie było i niema,
Jako był Acis czuły z Galateją —
Lecz raz, gdy bawią się, pieszczą i śmieją,
Ujrzą nad sobą zbójcę Polifema.

Potwór w nich godzi, z klątw i gróźb zawieją,
Głazem, dźwiganym rękami obiema;
Faun złodowaciał, nimfa staje niema —
Żegnaj, kochanie! żegnaj i nadziejo!

I wyście z sobą, w sojuszu miłości,
Żyły przez wieki, Litwo i Korono;
Lecz przyszedł olbrzym, co szczęsnym zazdrości,

I siłą unię zrywa przysiężoną.
Skrzepły wam serca — w zimne pełzną łono
Węże podejrzeń, żmije nieufności...

Biblis.

Wzgardzonych uczuć. czując w sobie jady,
Przez świat wyklęta i sobie niemiła,
Nieszczęsna Biblis po lasach błędziła,
Jękami płosząc leśnych bóstw gromady.

Zmogła ją wreszcie fatalności siła!
Z ócz jej dwie srebrne rzucą się kaskady —
A gdy ją próżno cieszyć chcą dryjady,
Ból swój i siebie we łzach roztopiła.

Był czas, że Polska pod więzienną strażą,
Gdy ją przygniata straszna pięść olbrzyma,
Łzami przebłagać pragnęła moc wrażą.

Dziś — stoi groźna, z suchemi oczyma,
Co nie tkliwością, lecz gniewem się żarzą,
I w dłoni sztandar rozpostarty trzyma.

Niobe.

Z nadmiaru męki oszalała Niobe
Znalazła wreszcie kres swego cierpienia:
Nieszczęsna matka w posąg się przemienia,
Marmuru bielą kryjąc swą żałobę.

W głazie, co boleść żywą okamienia,
Świat Piękna nową pozyskał ozdobę,
I dziś, wskrzeszając mitów starych dobę,
Łez w nim nie widzi, nie słyszy jęczenia.

Ale ty, Polsko! strasznym gadzin zwojem
Spętana, z dumy odarta omamień,
W przepaść pędzona długim, na śmierć, bojem,

Ty, Matko nasza! nie zastygaj w kamień.
Zamiast świat dziwić posągów spokojem,
Raczej się w lwicę rozjuszoną zamień.

Laokoon.

Walczących z bóstwem bóstwo zawsze złamie.
Troja paść miała z wiedzą Appollina;
A gdy spór o nią Laokoon wszczyną,
Wraz go dosięgło mściwe boga ramię.

Węże go duszą — zagryzły mu syna;
Jemu na lica pada śmierci znamię.
Słabo się broni, męstwo tylko kłamię,
Moc mu zabrała wmówiona we-ń winą.

Laokonowe cierpisz, ludu, męki,
Żeś szedł w zapasy z hydrą Przeznaczenia —
Lecz nie śmierć będzie kresem twej udręki.

Nic nie wyrzuca tobie głos sumienia...
Walcz z potworami. Gdy siłę twej ręk!
Poczują, strach je w padalce pozmienia.

Parki.

Trzy Parki snują przędziwo żywota.
Jednego długo cieszą plenną niwą,
Drugiego zgładzą, zanim skończył żniwo,
Za trzecim zamkną, ledwie wstąpił, wrota.

Trzy Parki snują żywota przędziwo.
W zimnym spokoju płynie ich robota;
Tak samo giną: i zbrodnia i cnota,
Rwie się żelazne i złote ogniwo.

Trzy Parki, z twarzą kirem osłonioną,
I naszych losów przędą tajemnicę,
A nigdy nie drgnie współczuciem ich łono.

Złowrogie sfinksy! prządki ciemnolice!
Któraż z was kądziel, która ma wrzecziono,
A która zbójcze ukryła nożyce?

Prozerpina.

Dziecięco ufna, nie wroga nikomu
Cerery córka, w przedwieczorną chwilę,
Zrywając kwiaty, ścigając motyle,
Odbiegła wioski, macierzy i domu.

Nagle, z rydwanu, co podązał w tyle,
Pluton, śledzący dziewczę pokryjomu,
Skoczy — omdlałą porwie . . . Nakształt gromu.
Trzy czarne ogry przetętniały w pyłe.

Ojczyzno moja! ludów Prozerpino!
I tyś porwana zdradą do otchłani,
Gdzie krwią twą rzeki, łzami zdroje płyną.

Lecz, chwila jeszcze — a zginą szatani!
Ty wyjdiesz z piekła ich własną przyczyną,
Już nie ofiara, lecz Zwycięzka Pani.

Wielki dzwon.

Uderzcie w wielki dzwon!
Czemu w wielki dzwon nie uderzacie?
W wyniosłym zamku i w zapadłej chacie
Czekają na ten ton.
On tylko, on
Serca pokrzepi, oskrzydli dusze,
Obudzi czujność ludu,
On tylko znosić da katusze,
Oddali zgon...
Na świt kto czeka, kto wygląda cudu,
W wielki uderza dzwon.

Wielki dzwon na wielką wieść,
Wielki dzwon na zmarłych cześć,
Wielki dzwon, by czarta zgnieść;
Wielki dzwon na czujne trwanie,
Wielki dzwon na snu przerwanie,
Wielki dzwon na zmartwychwstanie!

Wciąż grają dzwonki małe
Pieśń drobną a zawiłą:
Ani z niej Bóg ma większą chwałę,
Ani niemocnych ona darzy siłą.

W pogodę słuchać takiej pieśni miło —
Lecz, gdy zasępią niebo czarne chmury,
Gdy serca mrozi lęk ponury,
Gdy wicher cwałuje z rozwianą grzywą,
A krwawych ogni potoki
Leją obłoki
Z rozdartych gromem łon,
Dzwonnik, co grodu pilnym jest strażnikiem,
Pomija drobnych dzwonek zgraję świegotliwą —
W wielki uderza dzwon.

Bóg was postawił wysoko
Na wieży-strażnicy,
Strażnicę podparł opoką,
Dokoła wodne piekło,
A dalej, wśród nawałnicy,
Która z ironią wściekłą
Z rozbitków się naigrawa,
Rzucając w ciemność lwie i wilcze głosy,
Ciężko posuwa się nawa,
Wioząca narodu losy.
Przebóg! czyż pozwolicie,
Wy, postawieni na szczycie,
Żeby ten korab święty
Miały schłonać odmęty?
Wątlami dźwięki ostrzegać go darmo...
Gdy szatan czyha na śmierci plon,
Gdy otchłań grozi — strażnik na larmo
W wielki uderza dzwon.



Uderzcie w wielki dzwon!
Czemu w wielki dzwon nie uderzacie?
Do was ze wszystkich stron
Upiorne ciągną postacie:
Dzieci niedoli, dzieci niewoli
W pokutnej, żebraczej szacie.

Jak straszne i milczenie!
Zamarł w tych piersiach zbolełych głos,
Te dusze, jak pusty kłos.
Wyżarte przez cierpienie.
Za chwilę przestanie bić w nich serce,
Na pastwę pójda kruków i wron...
Czyż ostatniej życia iskierce
Zagasnąć dacie?
Czyż zginąć mają bez win?
Na ich ruinie szatan wzniosłby tron...
Hej! na wieże! Do sznurów! do lin!
W wielki uderzcie dzwon!
Czemu w wielki dzwon nie uderzacie?

1915.

Oszczyrcom poezji.

W nową stronę wiatr skreślił chorągiewki tłumy...
Nic im serce; poezją gardzą; chcą — rozumu!
Wczoraj słońcem im była wieszczów myśl skrzydlata,
Dziś osądzili, szydząc: — „Nie z tego jest świata“...
— „Próżno Ojczyznę — krzyczą — lotnym czynić duchem:
Ona jest mięśniami, kością, płucami i brzuchem“...
Dyplomocja ich wiarą, bożyszczem finanse;
Don Kichota wyśmiali, wielbią Sanczo Panse;
Chwila jeszcze, a z życia i wzniosłość, i piękno
Wyrwawszy, przed bałwanem powszedniości klękną.

Ach! więc Poezja winna, że wam w duszach ciemno,
Że walkę z przeznaczeniem toczycie daremną,
Że was los nienawistny zawiódł nad otchłanie,
Że cierpicie niewolę i prześladowanie?
Jednak kto pieśni polskiej czułem sercem słucha,
Wyzna, że ona zawsze krzepiła wam ducha,
Że, jak strzegące matki, nad wiek czujne, dziecko,
Zawsze wam w porę przepaść wskazała zdradziecką
Przez cały wiek miniony ona to nad wami
Czuwa z rozpostartymi, jak anioł, skrzydłami,
Pamiętna, by serc waszych niwa była żyzna.
Ucząc miodnej słodyczy wyrazu „Ojczyzna“,

Balsamy lejąc zbawcze na Macierzy ciało,
By, po dzień Zmartwychwstania, w grobie nie zetlało.

Powiedzcie, drogi swojej niepewni wędrowce,
Czy was kiedy poeta wodził na manowce?
Czy nauczał warcholstwa, bezrządu, rozpusty?
Czy mówił do was fałszem splamionemi usty?
Czy doradzał: — „Wyzujcie się z miana polaków,
Zapomnijcie, że wasz był Poznań, Gdańsk i Kraków,
A gdy martwość helotów wśród was się rozgości,
Chwilą życie obecną, zrzecście się przeszłości?...”

Wy chcecie tylko kształtom ufać, wierzyć w czyny.
Dla was fakt — to istnienia wykładnik jedyny.
„Poza kształtem — mówicie — pustka leży głucha”...
A poeta rzekł: „Z ducha wszystko i dla ducha”,
I pokazał wam Polski cudowne zjawienie,
Jako duchów, za kształtem goniących, wcielenie,
I króla ich dał poznać, co przed lat tysiącem
Stawał się i wciąż staje ciałem, krwią tętniącem.

Czem Poezja? Wzniosłością. Życie poetyczne
Łączy z myślą anielską czyny niebotyczne.
Naród, który za hasło nie ma *sursum corda*,
Narodem zwać się nie wart; to — stado lub horda.
Moc ludów nie na wielkim polega obszarze,
Ani na znacznym bogactw przyrodzonych darze.
Ani na licznej wojsku — nawet nie na wiedzy.

Narodami kieruje Bóg — nie wątpcie o tem!
Do celu każdy zdąża prawidłowym lotem,
Jak gwiazda. Polska idzie w rzędzie, za innemi
Wliczona do systemu okrężnego ziemi.
Lecz nie dość ludom krążyć: każdy z nich na globie
Ma zgóry posłannictwo wyznaczone sobie:
Jeden rozwija przemysł i handel rozszerza,
Drugi próbuje rzemiosł ze sztuką przymierza,
Ten płody przyrodzone w znojnym trudzie mnoży,
Tamten z modłów i ofiar gmach buduje boży,
Ów pięknu stawia cudne, dziwiące ołtarze...

Polski zadanie inne. Ona wzięła w darze
Od Boga i od zbożnej podwójnie swej gleby
Klejnot poetyczności — nie tej, którą Feby
Przy lutniach złotostrunnych skandują rozumnie,
I nie tej, co w walhallach rozpiera się dumnie,
I nie tej, która w gnieździe skowronkowem kwili,
I nie tej, co jest w służbie szybko mknącej chwili,
I nie tej, którą płodzi rymopisna zdolność...
Polski pieśń: głosić ludom Braterstwo i Wolność!

Polak, nim wstąpił w dźwięczne, parnasowe światy,
Szablą, lancą i kosą pisał poematy,
Krwie nie szczędząc serdecznej w swych hasłach obronie,
W czci dla świętego ognia, co mu w piersiach płonie.

Tytuły? Grunwald, Chocim, Wiedeń, Racławice,
A potem — Somo-Sierra, a potem — Chmurzyce
Krwawemi łzami skrzące: Stoczek, Ostrołęka
I rapsody, na których napis jeden: Męka.

Dla kramarstwa i bogactw polak żywi wzgardę,
Burzom, śmierci, niedoli czoło stawia harde,
Miękki wykwint ma za nic — gotów za kraj świata
Lecieć z mieczem, by wspomódz brata i nie brata.
Miał królów — lecz jest z ducha republikaninem.

Król mu ojcem, kraj matką, on obojgu synem.
A zawsze, od narodzin, wśród losów zamieci
Wolność z niepodległością, jak gwiazda mu świeci.
Puszczyk stroni od światła, orzeł światła szuka;
Polski nie śmiła ciężkich doświadczeń nauka,
Ledwie zorza błysnęła z zachodu i wschodu,
Rozwinął senne skrzydła biały ptak narodu.
Im wyżej słońce Prawdy wzbija się nad ziemię,
Tem większym blaskiem nasze rozświeca się plemię,
Aż zupełne zwycięstwo Chrystusowych znaków
Stanie się ostatecznym tryumfem polaków.

O królewskości Polski to pamiętać macie,
Że w niej pierwszy tron stanął w kołodzieja chacie,
Pierwsza korona kmiecej dostała się głowie,
Pierwszymi elektami byli aniołowie —
Stąd kmiecość i anielskość, jak dwa ognie złote,
Wiodą naród przez dziejów ciemność i Golgotę.

Wam dzisiaj skrzydła wadzą... A czyście je mieli?
Gdzież są z chleba zjadaczów zrodzeni anieli?
Gdzie skrzydłami orlemi szumiący usarze,
Których dziś w snach jeno jawią się nam twarze?
Gdzie z uskrzydloną myślą mędracy i prorocy,
Widzący świt przez mroki dławiające was nocy?

Na Poezję zrzucacie swej słabości winy,
Lekkoduchy, u których „myśl nie trwa godziny“,
Nietrzeźwemu podobni chłopu, co gdy w chacie
Zaproszył, ogień, mszcząc się, po domostwa stracie,
Łamie Świętych obrazy, że go nie broniły..

A dokoła o życie wołają mogiły!

On jest.

Jak słońce w chmur nawale, znikasz mi z przed oczu.
Dopiero-ś był i świecił — już gaśniesz w zamroczu.
Rąbek światła gdy ujrzę, szaleję z radości,
Gdy chmury zwyciężają — mrok w mem sercu gości;
Śmiertelnem zimnem duszę, odtrętvia mi trwoga,
I wołam w obłąkaniu: — Niema, niema Boga!

A On jest.

Nad chmurami, nad żniwem przekłętym

Śmierci, nad doczesnych zapasów zamętem,
Nad trumną zbezczeszczoną, rozbitą kołyską,
On - Wieczność! On - Harmonja! On - Życia ognisko!
Odwrócenie od słońca na szatanów hasło
Ślepcy! jak śmiecie kłamać, że słońce zagasło?!

Kobieta.

Cieniom, które jawią się przedemną
z niemą skargą, z załamanemi rozpacznie rękoma...

Znów kula, krew, morderstwo, trup młodej kobiety,
Szermierz słów, powalony, nim dobiegł do mety,
I zgroza, na przelękłe padająca miasto...

O nedorzeczny boju ludzkości z niewiastą!
O podstępnie szatański, co sączysz truciznę
W źródło, które ma krzepić i cieszyć mężczyznę!
„Zgrzeszyła”... Oskarżenie, jak gad, w mroku syczy
I w przerażonych duszach budzi szal zbrodniczy.
„Hej! ławą na kobietę! To córka szatana!
Czara złego z jej ręki na ziemię wylana!
Jej to piekło, by ludzkość w szpony swoje dostać,
Dało duszę zwierzęcia i anioła postać!
W pęta ją! Zdusić żmiję! Już przez wyrok boży
Skazana: dźwigać jarzmo i chodzić w obroży!...”
Ona stoi, jak Ewa przed groźnym aniołem,
W złocistym płaszczu włosów, z białem, jak śnieg,
[czołem,
Rzęsami przygaszając oczu swoich żary.

Nie rozumie swej winy, nie uznaje kary.
Jako gołąb zraniony jej serce trzepoce,
Dobre, a wśród miljonów współludzi — sieroce.
Wzruszenie dech stłumiło, wstyd skrępował usta,
I pierś jej przepełniona, a zdaje się pusta.
Milczy.

O! gdyby bronić trzeba dziecka, męża.
Ojczyzny — miałby język jej siłę oręża,
Grzmiałby jak piorun, świecił jako błyskawica,
Jak dzwon biłby we wrogów i ryczał jak lwica!
Lecz o sercu swem mówić nie umie, nie może...
To rzecz niewymawialna, jako imię boże
U hebrejów.

Kobieta milczy, a tłum wyje!
„Hej! Milczy, przeto winna! W pęta ją!
Zgnieść żmiję!...”

— Zgrzeszyła... W prochu ziemskim anioł zbrukał
[skrzydła...

Lecz na białego ptaka któż zastawił sidła?
Mężczyzno! tyś białości najzawziętszy łowca!
Śnieżny łabędź i lilia, srebrnorunna owca
I bielą niewinności dostojna dziewica
To łup, za którym goni dusza-drapieżnica.
Ach! nigdy łania w takiej nie bywa obieży,
Jak kobieta! W cel żaden tyle strzał nie mierzy,
Co w kobietę! Mężczyzna, w sztuczne zdobny blaski,
Na każdym kroku na nią zastawił potrzaski.
Kłamie miłość i zachwyt, cześć i uczucia bratnie,
Osacza, szczwa, dościga i wpędza ją w matnię.

Nie przestał na tem. Niedosć, że nie chcąc już pieścić,
Rzuca pastwę: on jeszcze musiał ją — zbeczcześcić!

Brzemieniem jego błędów i grzesznych słabości
Tyś obciążona, Ewo, pramatko ludzkości.
Tyś winna, że on z Bogiem w ciągłej trwa rozterce,
Że tak bardzo do złego skłonne jego serce,
Że się przed nim edenu zatrzęsnęły wrota,
Że mu duszę żre ciągła za szczęściem tęsknota,
Że wątpi, że upada, że zgrzyta, że bluźni...
Ileż grotów morderczych wykował w swej kuźni
Na tę, co jego szczęścia główną jest twórczynią —
Z dobrem swem tylko dzieci szalone tak czynią!

Kobieta, kwiat ludzkości, lotny twór z płomienia,
Którego kształt i świetność każdy powiew zmienia,
Na matkę i anioła przez Boga stworzona —
Mężczyzna z niej igraszkę czyni i demona.
Kwiat zerwany już w blasku dawnym nie powstanie —
I kobiety nie wskrześnie świętość... Jej zadanie:
Podobać się. Jest taka, jakiej chciałeś. I taka,
Jakiej wart jesteś. Płocha, gdy masz myśli ptaka;
Mężna, jeżeliś mężny; wiedzy hołdownica,
Gdyś mędrzec; dla smutnego — płaczka smętnolica;
Jeśliś pyszny, to pychę, jako paw, nadęta;
Przy grzeszniku grzesznica, a przy świętym święta.
Jeśli twe sprośne myśli krwi ludzkiej łakome,
Tańczy przed Tobą sprośna i krwawa Salome;
Gdy u aniołów szukasz posiłku dla ziemi,
Jawi ci się natchniona dziewczeczka z Domremi...
Mężczyzno, czcij kobietę! Dręczyć ją Bóg wzbrania!

Miej nawet dla błędzącej ogrom pobożania.
Tyś przepaść jej wykopał — ty jej śpiesz z pomocą.
Bez kobiety twe życie pustkowie i nocą.
Świętością niech ci będzie, cudu rajskim kwiatem.
Co i przy ziemi trzyma i łączy z zaświatem.
Czcij ją. Gdy w waszych sercach zamieszka duch boży.
Bezmiar jej poświęcenia niebo ci otworzy.
Poznasz jak jest w słabości pozornej potężna,
W troskach mocna, w zabiegach ziemskich niebosiężna.
Czcij w niej własną dostojność, własny skarb, moc
[własną.
Gdy ją strącisz w mrok — gwiazdy na tem niebie zgasną.
Nigdy nie bądź tyrańskich nad nią władz łakomy.
Gdzieindziej tytan, w niebo rzucający gromy,
Do kobiety przystępuj z pochylonem czołem...
A chcesz w niej mieć anioła? — sam się stań aniołem!

Spowiednikowi.

Jak ten, co wąłem czółenkiem niesiony
Ma spodem czarny, rozhukany strumień,
Tak ty, kapłanie, żyjesz zapatrzony
W czarniejszą jeszcze otchłań ludzkich sumień.

Lekarzu grzechów! Tobie, długim ciągiem,
Jawią się dusze ludzkie w obnażeniu;
A niema która byłaby posągiem —
Wszystkie we wrzodach i okaleczeniu.

Pieczęć milczenia twoje usta pęta,
O tem, coś dojrzał, nie mówisz nikomu —
Lecz twoja dusza, dla innych zamknięta,
Sama się sobie zwierza pokryjomu.

Śledzę ciekawie myśl, co z tej zamroczy
Na twarz się twoją powoli wyłania:
I widzę — smutne bezgranicznie oczy,
I widzę — uśmiech pełen pobłażania.

Na marginesie nekrologu.

Cieniom Juliusza Benzefa.

Żyd — a złotem pogardził. Żyd — a nie chciał blasku.
Żyd — a na cudzy zagon z pługiem szedł o brzasku.
Żyd — a Polskę miłował. Żyd — a żył dla świata.
Żyd — a w obcym nie wroga widział, jeno brata.
Żyd — a nigdy go szalbierstw nie splamiła wina...
O, zaprawdę: w tym żydzie był duch chrześcianina!

Z lat go młodych pamiętam. Wśród snobów gromady,
Jak gołąb pośród pawów, przesuwiał się blady,
O siebie nie dbający, z powszedniem obliczem,
Na którym duch się wielki nie zapisał niczem;
Przez pyszałków zaćmiony, głupcom niepojęty...
Nikt nie zgadł, że w szaraczku mieszka człowiek święty!

O, żydzi! jeszcze klątwy nie zdjął z was Jehowa,
Gdyście dojrzeć niezdolni, gdzie prawda się chowa.
Szukacie jej w dostatkach, w zmysłów nasyceniu,
W klęsce wrogów, w aryjskich plemion poniżeniu,
W rozkoszy, co, jak ogień, błysnie i ucieka...
A prawda mieszka — w sercu dobrego człowieka!

Bóg.

— Niema Boga!

— Ha, trudno. Lecz istnieje przecie
Coś, co ten świat porusza, co ład sprawia w świecie.
Cóż to jest?

— Siła.

— Musi być niemała,
Jeżeli dźwiga olbrzymie i bez liku ciała...

— W istocie, jest potężna.

— I nie bez rozumu,
Gdy nie zbłądzi wśród planet wirujących tłumu,
Gdy każdej wskaże drogę w wieczystej pogoni
I od starcia się z drugą rozważnie uchroni...

— Tak, jest również i mądra.

— Czy są inne siły,
Co-by jej dorównały lub ją przewyższyły?

— Niema takich.

— Więc ona, wśród ziemi i nieba
Największa i najmędrsza?

Tak, przyznać to trzeba.

— A czy ma jakąś nazwę, będąc czymś tak drogiem?

— Nie ma.

— To wiesz, mój bracie? Nazwijmy ją — Bogiem!

Alfa i Omega.

Ja nie mam wspomnień. Nie wiem co to wczora.
Obce mi słońca wschody i zachody.
Czas dla mnie jeden, ni stary, ni młody,
Z wieczorną dzienna jednoczy się pora. •
Ja nie mam wspomnień. W znojne dni mych żniwo,
Wszystko jest dla mnie obecnością żywą.

Mam-że na nikłe rozkładać atomy
Mgnienie, co ludzkim zowie się żywotem?
Iskrę, co chwilę bawi lśnieniem złotem?
Mułu i Myśli bożej zlepi znikomy?
Ja nie mam wspomnień. Duch mój z tego wątku,
Co jego Stwórca — żywie bez początku.

Dni, lata, wieki — przemienny liść w lesie!
Prawego Ducha znak: zawsze i wszędzie.
Cóż jest dziś, jutro, wczora, gdy myśl rwie się
Za kres przestrzeni, za czasu krawędzie!
Nić bez początku i bez końca przędę...
Byłem, gdyż jestem. Jestem, przeto będę.

Wilsonowi.
Echo jego orędzia.

Jeśli nie wysechł w tobie wstydlivości strumień
 Europo! dziś się zarumień.
Nie ty myśl Bożą kształtem przyoblekłaś ziemskim,
Nie ty się stajesz domkiem Betleemskim,
Nie twoja moc wstrząsnęła zrąb piekielnych bram,
Nie ty, dłoń kładąc, na burzy zamęcie,
Przez Chrystusowe pętasz ją zakłęcie:
 „Pokój wam!“...
Dzień nowy błysnął z poza oceanu wałów —
Z kraju oskarżonego o wilczy głód złota,
 O ubóstwianie młota,
 O brak ideałów.

Dziś, w zdumieniu, oszczerce zdrętwieją języki —
Wilsonie! tyś ocalił honor Ameryki!

Zbłąkańcom, oszalałym wśród puszczy żywota,
Nowy Mojżesz, ukazujesz wrota
Do Ziemi Obiecanej, do zbawczej oazy.
„Chanaan! Chanaan!“ — idzie szmer wśród rzeszy;
I ten, co przeznaczenie kłął po tysiąc razy,
 Z ostatnią klątwą nie śpieszy.
Staął — rozważa — coś w nim boskiego się dzieje:

Dojrzał — nadzieję.
Ściąga dłoń do rajskiego przyszłości ogrodu,
I klęknął przed mirażem, na burzliwym niebie
Wyczarowanym przez ciebie,
Wielki przedstawicielu wielkiego narodu!

Bezlotki praw się ziemskich trzymają i ziemi,
Orzeł, lecąc ku słońcu, skrzydłami mocnymi,
Wybiega poza sferę człowieczego wzroku
„Zginął! — mówią. — Już świata nie dojrzy z obłoku!”
A on objął najdalsze istnienia krawędzie,
To, co minęło, co trwa, i co będzie!

I tyś, Wilsonie, orłom wydzierając lenno,
Przesięgnął metę codzienną;
Widzisz dobę, do której tęsknią duchem młodzi,
Nie tę, która trwa jeszcze, lecz tę, co nadchodzi!

Nie wierzą w starych przesądach zakrzepli,
Że lody samolubstwa jej słońce rozciepli,
Że, jak Febus Pytona, złotemi strzałami
Ona wytępi wszystko, co dziś ludzkość plami —
Lecz tak samo, gdy pychy zmoęła ich pokusa,
Zaprzeczali mędrkowie nadejściu Chrystusa.

Wieścisz nam, gończe Prawdy, że padną zagrody,
Które mi lęk z chciwością rozdzielił narody,
I że zbudzona ludzkość nareszcie zrozumie
Głosy, któreś dosłyszał w nawałnicy szumie:

Że przed Bogiem są wszystkie ludy jednorzędne;
Że, gdy nie stanie zbójców, pałki będą zbędne;

Że krzywda rodzi zemstę, przemoc odwet krwawy;
Że chlubić się należy tylko z dobrej sławy;
Że Bóg mórz głębinami glob opasał cały,
Nie, by dzieliły ludzi, lecz, by ich zbliżały;
Że grzeszni są, co tylko swego szczęścia strzegą,
Bo w szczęściu wszystkich mieści się szczęście każdego;
Że niewola, do której zwierż tylko przywyka,
Hańbi tyrana, chwałą darzy niewolnika;
Że w aniołach, nie w wilkach, szukać trzeba braci,
Że kradzione nie tuczy, zabór nie bogaci;
Że Bóg nie na moc patrzy, ale na sumienie,
I nie silni, lecz dobrzy są u niego w cenie;
Że gdy równe wartości idą zawsze razem;
Złoto płaci się złotem, żelazo żelazem;
Że rozchwieją się wszystkie tryumfy oręża,
A tylko miłość trwale i chlubnie zwycięża.

Rządco wolnego ludu, który wolnych gości!
Ty odgadłeś, co cierpi naród bez wolności,
Naród, któremu przemoc pół duszy wydarła:
Co cierpi Polska, w pętach obumarła...
Drgnęło twe czułe serce dla mojej ojczyzny,
Chrystusowemi naznaczonej blizny,
I rzekłeś głosem, co zawładnął burzą
I który ziemi usłyszają krawędzie
I który wieki powtórzą:
„Polska wolną być musi — i będzie!”

Wilsonie! mógłbym wielkim nazwać cię rachmistrzem,
Wkłady Kościuszki, Pułaskiego,

Których rodacy twoi tak szlachetnie strzegą,
Dziś, z odsetkami, złotem płacisz nam najczystszem.
Mógłbym murarzem wskazać cię z imienia,
Bo mury naszego więzienia
Ciężkim rozbijasz oskardem;
Lecz tyś godzien, by ciebie mianować Bayardem —
Bowiem rycerza w tobie mamy
Bez trwogi i bez plamy.
Heroja, który światu, co słabych uśmierca,
Bój wypowiedział — na serca!

Polska — jak wszyscy nieszczęśliwi —
Krzywd i dobrodziejstw pamięć chowa długo;
Wraża nienawiść już jej nie dziwi,
Zdziwić ją można — przysługą.
Gdy przechowuje, z czasów minionej potęgi,
Dla złych i dobrych grona,
Księgę czarną i złotą — do złotej księgi
Wpisała imię Wilsona.



C Z E S C
 D R V C A



JAN.



Przed jutrznią wielkanocną.

„A Panie, idąc, mówiły między
sobą: Któż nam kamień odwali
od forty grobu?”

Żywot Pana Jezusów (1592).

Noc minęła — nie zabłysło rano...
Ziema twarz ma od rosy spłakaną,
Na zachodzie zgasł już sierp księżyca,
A wschód jeszcze nie odsłonił lica.
Trwa na niebie walka bez oręży —
Lud się lęka; czy Światło zwycięży?

Trzy niewiasty po skalistej drodze
Szły do miasta w milczeniu i trwodze;
Trzy niebogi, wdowy i sieroty.

Jedna niesie garść jarego zboża,
Druga snopek słonych ziół z nad morza,
Trzecia wiązkę śnieżnej z gór szaroty.

Wszystkie we łzach i ciężkiej żałobie:
Ukochany od trzech dni już w grobie!

One wiedzą, że w kim duch trwa boży,
Ten o wieczny żywot się nie trwoży —

Jednak żal im i drogiego ciała,
W którym każda chlubę swą widziała.

— O Najświętszy nasz! O Ukochany!
Namaściemy balsamem twe rany,
Kwiat złożemy u twego posłania,
Byś był piękny na dzień Zmartwychwstania.
Trzy dni w grobu przebyłeś ciemnicy —
Wyjdź na słońce, o Promiennolico!
Dla nas boleść twoja nadczłowiecza
Przemieniła trzy dni w trzy półwiecza!
Przyjmij dary serdecznej ohoty:
Oto z równin garść jarego zboża,
Oto snopek słonych ziół z nad morza,
Oto wiązka śnieżnej z gór szaroty...
Jedna z wietrznej przybyła Północy
I jest w sobie jędrnej pełna mocy;
Druga przyszła z ciepłego Południa,
Co się rodem junaków zaludnia;
Trzecia, skrzętna, pośrodku ich mieszka —
Dziś je wszystkie jedna wiedzie ścieżka.

Idą drogą, wzdychają i płaczą...
— Kiedyż razem u celu staniemy?
Kiedyż głosem przemówi grób niemy?
Kiedyż oczy nasze Cud zobaczą?

One wiedzą, że w kim duch trwa boży,
Ten o wieczny żywot się nie trwoży,
I że śmierci stargawszy ogniwa,
W tajni grobu śpi ich Miłość — żywa.

By ją zbudzić, dość na powitanie
Z łzą gorącą dać pocałowanie,
Promień słońca wpuścić do mogiły,
Krzyknąć: — Wynijdź! Dni się wypełniły!

Już niewiasty z pogodniejszą twarzą,
Łzy otarły, skupiają się, gwarzą;
W potrąconych mocnem skrzydłem ducha
Myśl się śmielsza rodzi i otucha.
Słowa biegną z wiatrem na przeloty:
— Ja dam Panu garść jarego zboża...
— A ja snopek słonych ziół z nad morza...
— A ja wiązkę śnieżnej z gór szaroty...

Nagle staną i załamią ręce —
Znów ich serca w niewolnej udręce,
Znów się patrzą struchlałe po sobie,
Pod kamieniem ożył zmarły w grobie,
I już Światłość wieczna mu się pali —
— Ale kamień... któż kamień odwali?

.
.

In hoc signo...

Pełni się jakieś wielkie dzieło.
Anielskie-ż ono, czy szatańskie?
Pół ziemi ogniem się zajęło,
Grzmią na niebiosach trąby Pańskie;
Wieść między ludźmi dziwna chodzi,
Starzy się smućą, cieszą młodzi.

Nocami, każde pole żyje
I gwar podnosi — a gwar rośnie,
Jakby żórawie długoszyje
W chmurach czyniły wrzask, o wiośnie.
Lecz nie o wiośnie mówią pola,
To los przeklina swój — niedola.

Jednak w tem bólów palenisku
Olbrzymia przyszłość się wytrawia:
Kres tyrańskiego dusz ucisku,
Koniec niewoli i bezprawia.
Niech się uciszą zmarłych kości:
Ginie obecność dla przyszłości.

W tej strasznej kuźni dzwonią młoty,
Co rozbić mają miecz i zbroję,
Wrócić ludzkości jej wiek złoty,
Zdusić nienawiść, stłumić boje.

W ogniu, co krwawym żarem bucha,
Kształci się nowa forma ducha.

Dręczącą jutra tajemnicę
Ten duch sfinksowy w sobie chowa.
Może ją wygrzmi przez haubice,
Przez konających wyłka słowa...
Lecz wówczas tylko piekło złamie,
Gdy będzie krzyża nosił zamię.

Trzeba na nowe tory pchnąć ten stary świat;
Dość już złości i zbrodni, ucisków i zrad!
Niechaj ten bezprzykładny, ten potworny bój
Da spódlonej ludzkości lepszy ducha krój.

Już murów pękających słyszać trzask i grzmot;
Kruszy budynek świata niewidzialny młot —
Na ruinach niech Jutro wybuduje nam
Nie Molocha bóżnicę, lecz Chrystusa chram!

Dwugłos.

Od tygodnia nie milkną na chwilę armaty.
Rzekłbyś: ryczy lwów stado schowane za kraty.
Lub wyboistym brukiem grzmią podkute wozy.
Dnie są pełne tragizmu, noce pełne grozy.
Myśl podpatrzeć chce prawdę pod tajemnic cieniem,
Lecz cofa się wzdrygnięta niemem przerażeniem.
A grom bije po gromie, drży mur, szyby dzwonią...
A miasto! cóż ci będzie przeciw burzy bronią?
Codzień też, gdy twarz słońca jesiennego błada
Za zębate wieżycy katedry zapada,
Rumieńcem rozkwitając chorym w chwili zgonu,
Zza Wisły pieśń nadpływa kościelnego dzwonu:
„Anioł Pański zwiastował”... Ta pieśń, od stuleci,
O każdym przedwieczniu z ziemi w niebo leci,
Ucisza ją przy niej dusze i przyroda.
Dzwon ją śpiewa czy gromy huczą, czy pogoda,
W pokoju, i gdy wojny szaleje huragan.
Przez Matkę swoją Chrystus jest tą pieśnią błagan.
Gdy ją wieśniak usłyszy w polu, przy zajęciu,
Pług wstrzymuje, przykłęka jak we wniebowzięciu,
Kosy, sierpa poniechał, i z oczyma w górze
Wzdycha, podobny świętych przydrożnej figurze.
I w mieście ona czasem przechodnia dogoni;
Zdziwiony staje, próżno wzruszeniu się broni:

Z rozbudzonem sumieniem, zmiętem myślą czołem,
Poławiacz zysków stał się na chwilę aniołem.
Z tej strony pacierz dzwonu, z tamtej' armat grzmoty:
Bój o ziemię i górne do nieba tęsknoty.
Zmaga się głos kościoła z odgłosami bitwy.
Z morderczą kanonadą zbawczy szept modlitwy.
Dzwon mówi: — Pokój wszystkim... Grzmot mu od-
[powiada:
— Pokój tym, co są z nami, przeciwnikom biada!
Dzwon szepce: — Przebaczenie... Grzmot: — Śmierć
[i zniszczenie!
Dzwon przez gwiazdy, grzmot wiedzie przez krew
i płomienie.

Dzwon pociesza: — Bóg trzyma pałac i lepiankę
W swej opiece. Grzmot szydzi: — Ananke! ananke!
Dzwon godzi z życiem; nawet i ze śmiercią brata,
Grzmot dla wszystkiego jedno ma słowo: — Zatrata!
Wątpi jest mowa dzwonu; grzmot lwim głosem ryczy —
Boże! czyż szept pacierza bitwy ryk zakrzyczy?

Zbiegło dni kilka — kropla w wieków oceanie.
Znów słońce na szkarłatnych obłoków posłanie
Sklania głowę, z rumieńcem chorym w chwili zgonu;
Zpoza Wisły znów płynie wieczorna pieśń dzwonu;
„Anioł Pański zwiastował“... Znów na wsi i w mieście
Cisza pada na serca męskie i niewieście;
Poważniej wesołki, pogodniej smutni;
Znów...

Lecz cóżto? Nie słyhać dzwonu z grzmotem kłótni!
Dzwon przemawia, grzmot milczy — rzekłbyś: kornie
[słucha

Utażonego w dźwiękach modlitewnych ducha.
Niedawno taki zdał się władny i potężny,
Rozpierał się w powietrzu, jak pan niebosiężny,
Postrach rzucał na miasta, wioski, pola, gaje,
Dziś zamilknął i znaku istnienia nie daje.
Głośny był, lecz trwał krótko. Przerażał, jak burza,
Jak burza przewiał. Dziś się z zamętu wynurza
Głos inny...

— Co wywracać i niszczyć miało — przeminęło.
Przyszła pora na święte budowania dzieło.
Pokój wszystkim. Bóg trzyma pałac i lepiankę
W swej opiece. Zdeptano pogańską ananke.
Ilu jest nas i ilu ich — wszyscy do pracy!
Nie lilie my jesteśmy polne, ani ptacy.
Budujemy razem: gniazdo, twierdzę i świątynię.
Ztamtąd niech w każdy ranek pieśń do ludzi płynie
O Bogu, w którym mamy Ojca i Obrońcę;
A w przedwieczertz, gdy, gasnąc, rozżarzy się słońce,
Niech się zrywa i leci za lasów krawędzie
Dzwonu śpiew: „Anioł Pański“ — i niech tak już będzie
Do końca tego miasta, tych wiossek, tej ziemi...

A grzmot niechaj się górą przetacza nad niemi!

Z pacyfistą dialog.

— Wstań od modlitwy. Wróg ciągnie w pobliżu;
Uwozi skarby, łupy przebogate,...

— Mój Pan, co za mnie śmierć poniósł na krzyżu,
Ostatnią oddał katom swoim szatę.

— Chwila nadeszła. Wpadniemy znienacka.
Zemsty się żądza obficie nasyci...

— Nam jest wzbroniona zdrada i zasadzka;

— Chrztem z grzechu złości jesteśmy obmyci.

— Wróg miecz naostrzył, by ci zadać rany;
Ciało i duszę katować chce wspólnie...

— Mój Pan u słupa został ochłostany;
Potem nań plwano. — Wszystko zniósł potulnie,

— Dom twój w płomieniach. Plony twoje gorą.
Żołdaków pełna twa cicha zagroda...

— Mym skarbem cnota; tej mi nie zabiorą.

— Resztę niech trawi ogień, topi woda.

— Czy słyszysz jęki? To męczą twych braci.
Na kraj twój dzika runęła rajtarja.
Ojczyzna w boju ostatek sił traci...

— Do broni! Naprzód! Siecz! pal! Jezus, Marja!

Marsz.

Gdy się żegnał ze swą miłą,
Marsz, marsz, marsz,
Dziewczę piosnką go cieszyło:
Marsz! marsz! marsz!
Lecz gdy przyszło do rozstania,
Marsz, marsz, marsz,
Przytłumiły piosnkę łkania —
Marsz... marsz... marsz...

Na paradzie rażno grają,
Marsz! marsz! marsz!
Zuchy wąsy podkręcają,
Marsz! marsz! marsz!
Jutro oddział w bój wyruszy,
Marsz, marsz, marsz,
Pozbędzie niejeden duszy —
Marsz... marsz... marsz...

Wszystkie trąbki wykrzyknęły:
Marsz! marsz! marsz!
Wszystkie serca w piersiach drgnęły.
Marsz! marsz! marsz!
A za chwilę trąbek dźwięki,
Marsz, marsz, marsz,
Konających zgłuszą jęki —
Marsz... marsz... marsz...

Śpij, żołnierzu! Wiatr ci nuci:
Marsz, marsz, marsz...
Co minęło, nie powróci,
Marsz, marsz, marsz.
Twoja Hanka — jak to w świecie! —
Marsz, marsz, marsz,
Ma dziś męża, ma i dziecię —
Marsz... marsz... marsz...

Dziecku Hanuś czarnobrewa,
Marsz, marsz, marsz,
Dawną piosnkę do snu śpiewa:
Marsz! marsz! marsz!
A matczyne to śpiewanie,
Marsz, marsz, marsz,
Czasem — rzadko — przerwie łkanie —
Marsz... marsz... marsz...

Atak.

Warczy bęben, trąbka dzwoni...

Na bój! na bój!

W pięćset chłopa, w pięćset koni

Kogóż huf nasz nie rozgoni?

Wrogu! dziś kres twój!

Jesień wichrem smaga twarze —

Leć w cwał! leć w cwał!

Wypisano na sztandarze,

Że Bóg ręką naszą karze

Tamtych grzech i szal.

Koń w krwi brodzi z furją wściekłą,

Po pas! po pas!

Tyle ludzkiej krwi wyciekło!

Przekleństwami wyje piekło

Za nami? — czy w nas?...

Trzy strzały.

Bóg mnie tu przysłał, wódz naczelny!
Opierać Mu się któżby śmiał?
„Wiem — mówi do mnie — żeś zuch dzielny,
Więc, na straconej stawion czacie,
Gdy wrogów dojrzysz, strzelaj, bracie!“...
I to mój pierwszy będzie strzał.

Wystrzałem czujność zbudzę waszą,
Nie runie na was zbójów wał.
Mnie oni liczbą nie przestraszą —
Straconą czatę nim dostrzegą,
Sprzątnę swą kulą najbliższego...
I to mój drugi będzie strzał.

Próżno mnie wraża czerń obkoczy —
Co? ja na smyczę iść-bym miał?
Do nieba wolne wzniosę oczy —
„Gdym innych zbawił, pozwól, Boże,
Niech sobie kulą drzwi otworzę“...
To mój ostatni będzie strzał!

Bracia.

Bratem mi był
Nie ze krwi ale z ducha,
Razem nas dwóch
Porwała zawierucha.
Chcieliśmy walczyć zawsze przy sobie
I ledz, we wspólnym, żołnierskim grobie.

Armatni dym
Okrył raz ziemię całą;
Padliśmy wraz
Pobocz, przy ciele ciało.
Mnie słońce zaćmił gwizdzący ołów,
On szeptał: — Widzę chóry aniołów.

Nazajutrz dół
Kopano memu bratu:
Walecę dał
Marzeniom swym i światu.
Gdy widzącego grób zimny kryje,
Ja, com był oślepl, dlaczegoż żyję?

W Szpitalu.

— Ciszey! ciszey! Ten hałas duszę w proch mi zetrze!
Znów szrapnel z dzikim śmiechem rozerwał powietrze!
Kule, jaskółki czarne, lecą, lecą, lecą...
Pędzi raca, jak hajduk z zapaloną świecą;
Ujada sto ogarów, zerwanych ze smyczy;
Milion czartów chichocze; milion dzwonów krzyczy...
Do budy, psy! Zczeznijcie, ptaki, czarty, dzwony!
Mózg mi pęknie, jak granat prochem rozsadzony!
Boże! litości! Ach! żebrzę o ciszę!
Daj choć taką, co duszę na śmierć ukołysz!

Opodal, na kolanach, krzyż mając u łona,
Łka siostra miłosierdzia. Jak srebrna korona,
Lśni w bladym świetle lampy jej opaska biała.

— Czyż ta noc — jęczy — końca nie będzie dziś miała?
Tak głucho, jakby zmartwiał cały świat z boleści!
Nawet komar nie brzęknie, liść nie zaszeleści...
Tylko widać za oknem drzew widmowe cienie,
Tylko słyhać bezładne chorego bredzenie.
Jęk przeraża czemś blizkiem, noc czemś niewiadomem...
Panie! tę straszną ciszę przerwij choćby gromem!

Smutna choinka.

(Rok 1914).

Gdy sosenka, w złotych światłach roju,
Zmierzch dzisiejszej rozjaśni wam doby,
Stańcie przy niej z powagą żałoby,
W smutnym duchów rycerskich spokoju.

I powagi i smutku tu trzeba,
Bo to drzewko z gałęzmi świeżemi,
Wzięło świeżość z krwią nasiąkłej ziemi,
Z płaczącego łzami bólu nieba.

Dziś kalekie, było tarczą dzielnym...
Wierzch mu kule armatnie zerwały,
Ranny żołnierz, z bólu oszalały,
Złamał gałąź w upadku śmiertelnym.

Świątokradztwa może winna ręka,
Co zrąbała drzewko ku ozdobie;
Jemu świadczyć kazano przy grobie:
„Tu zwycięstwo było i tu męka“.

Gdy dreszcz nagły tę sosenkę wzruszy,
Mówcie zcicha: — Wieczne odpocznienie...
To powiało zamogilne tchnienie,
Lot żołnierskiej dał się uczuć duszy.

Sosna z grobu prędko krasę traci,
Lecą igły z niej, jak pierze z ptaka:
Żal drzewinie żołnierza-polaka,
Co tam został, zdaleka od braci.

Ona była tego trupa strażą,
Płaczkę czułą w niej miał i grobowiec —
Gdzież go teraz odnajdzie wędrowiec,
Co tu błdzić z twarzą przyjdzie bladą?

„Bóg się rodzi!“ — jękniemy dziś chórem,
Bóg się rodzi... lecz nie w dawnej ciszy.
Dziś Betleem grzmoty armat słyszy,[†]
Gwiazda wschodzi w strwożeniu ponurem.

Kiedy w blasków koronie promiennych
Świeczki drzewko obsiadą, jak duszki,
Będą światłom równe, co w Zaduszki
Na mogiłach płoną bezimiennych...

Gdy obcy wstąpi do mojego domu...

Gdy obcy wstąpi do mojego domu,
Na jego czole szukam śladów gromu,
I szukam śladu żrących łez na licu,
Jak bruzd po lawie skrzepłej na księżycu.
Bo żeby drewnem dziś być albo skałą.
Trzeba mieć duszę na ból skamieniałą,
Żeby dziś z jasnym jawić się obliczem,
Trzeba być Bogiem — czartem — albo niczem.

Styczeń 1915.

Przed wielkiem świętem.

Przed wielkiem świętem, o rodacy moi,
Godnie się oblec nam wszystkim przystoi;
Z ciałem bez skazy i z duszą bez plamy
Dzień uroczysty witać wszyscy mamy.
Niech wyświęteczni każdy z nas mieszkanie
Wpierw, nim uderzy dzwon na Zmartwychwstanie.

Choć nasze zbroje rdza stuleci zżarła,
Rycerskość nasza dotąd nie umarła —
W nią się przystrojmy na to wielkie święto
Prosto i mężnie! Precz o obłudą krętą,
Z sercem wężowem, z lęklivością ducha,
Z myślą, co trwożnie cudzych haseł słucha!
Dawne, rycerskie, proste włóżmy szaty.
Niech w każdym usarz zbudzi się skrzydlaty:
„Bogarodzica“ na ustach, a w łonie
Ojczyzny miłość, która jak znicz, płonie!
Ten strój i klejnot przyozdobić może:
Tocießmy z rodu i zasług wielmoże.

Choć długo burzom i klęskom odkryty,
Nie próżny skarbiec Rzeczypospolitej.
Bierzmy zeń stare, szanowne klejnoty,
Które wiek złożył szesnasty, wiek złoty:
Zamoyskich mądrość, Modrzewskich powagę,

Skargi stateczność, Batorych odwagę,
Kochanowskiego wzloty niebotyczne,
Sępa pokorne, lecz ewangeliczne...

Niech wstanie Polska nie z Saskiej mogiły,
I nie z tej, gdzie ją upiory dręczyły,
Lecz zdrowa, bujna, w nimbusie natchnienia,
Opromieniona zorzą Odrodzenia!

Podjąłem garstkę ziemi...

Podjąłem garstkę polskiej, świętej ziemi,
Prześląkłej krwią;
Pozdrowilem ją słowy gorącemi,
Uczciłem łzą.
Potem, wzwyż niosąc, rzekłem — Panie! Panie!
Żywym, nie zmarłym, daj odpoczywanie'

Bowień się tamtych powieki zawarły
Na mocny sen,
A z nas tu każdy wół tylko umarły
Od groźnych scen:
Strasznie spoczywać gdzieś w dole, pod borem,
Straszniej: po ziemi błakać się — upiorem...

Złoty Legion.

Pragnąłbym stać się na dziś — werbownikiem;
„Hej! na bój!” — wołać. — „Do mnie, towarzysze!”
Jednych pieśniami wzywać, innych krzykiem,
Warkotem bębnow budzić martwą ciszę —
Potem na wroga zwartym runąć szykiem.

Niechby zew trafił do ślepców, do głuchów,
Budząc w nich czucia i myślenia zdolność,
Czyż świata zbrojnych tylko trzeba zuchów?
Na bój o Prawdę, na walkę o Wolność
Ja posłać chciałbym: Złoty legion duchów.

Błędzicie, wierząc tylko w moc oręża.,
Cóż oręż? ducha posłuszne narzędzie.
Mieczowi siłę daje wola męża;
Gdy woli zbrakło, zwycięstwa nie będzie —
A i bez miecza duch, gdy chce, zwycięża.

Co mu po szabli! Mocniejsze ma bronie!
Ma słowo — zbawcze i zabójcze razem,
Co jednym kładzie wawrzyny na skronie,
A innych hańby piętnuje żelazem
Albo ich grąży w niepamięci tonie.

Z rzeźbiarzów myśli, z czarodziejów słowa,
Którzy są dziejom ostateczni sędzie,
Będzie mej legii Gwardya honorowa,
Na pierwsze miejsca posyłana wszędzie
Jej czułe serce, jej władnąca głowa.

Moja usarya, skrzydlacze natchnieni,
Moi pancerni w kirysach z rozumu,
Będą, jak burza, z wichru i płomieni...
Boju nie wstrzymam, aż wśród ślepców tłumu
Drgnie duch, i wrogów — w braci mych przemieni!

Dnia... miesiąca... roku...

Wziąłem swą lutnię do rąk i na łono;
Szcześnie w niej moje i pociecha cała.
Gdym duszę zbudził w strunach utajoną,
Lutnia się rozpłakała.

Wziąłem swe cudne, muzyczne narzędzie,
Z którego indziej rośnie los i chwała;
Słodką mnie — myślę — pieśnią leczyć będzie...
A lutnia — zazgrzytała.

Wziąłem swą świętość, którą opromienia
Glorja anielstwa, obca żądzom ciała.
Gdy z drzeniem czekam na pieśń przebaczenia
Lutnia klątwą zagrzemiała.

A więc zdradzieckie narzędzie niech ginie,
Gdy mi ma bólu większego przyczyniać;
Grając dziś na niem, musiałbym jedynie:
Płakać — zgrzytać — przeklinać!...

Po śnie.

Niech cię pochwałą modły i pieśnie,
Stwórco, rządzący łaskawie,
Żeś mi pozwolił wycierpieć we śnie,
Co inni cierpią na jawie.

Ból, choć w marzenia bladym odbiciu,
Stargał mi ducha i kości —
Wiem już, jak wielkiej w prawdziwym życiu
Jest mocy i głębokości.

Dziś, u Pańskiego stanąwszy stołu,
Z ramienia obok ramienia,
Przyjąłem kornie, z braćmi pospołu,
Świętą komunię cierpienia.

Zamiast wieńca na trumnę.

Ś. p. Kazim. Julj. Jasińskiemu.

Szczupły nasz hufiec — i wciąż go ubywa.
Naród, przy syren operowych śpiewie,
Tych strat nie liczy — ach! bo naród nie wie,
Że to krynica wysycha mu żywa,
Z której ma rzeźwość, ochłodę i zdrowie.

Szczupły nasz hufiec — i walczy w rozsypce.
Więc choćby wiedli go w bój aniołowie,
Wszechmogącego słowa nie wypowie.
Niema akordu, gdy rozbite skrzypce!

Dziś ubył z hufca żołnierz wysłużony,
Zaczął w walkach zdobył on szewrony,
A jego miłość wszystka — ku Ojczyźnie,
Serce — podobne jednej krwawej bliźnie,
Pamięć — zgubiona w zmarłych kształtów świetle,
Rzekłby kto: pszczoła w cmentarzowym kwiecie!

Polsko! on ciebie miłował gorąco
Nie w blasku chwały, lecz już z ran mdlejącą,
Podległą, cudzą, przez świat opuszczoną;
I zdobył ciebie poezji koroną,
Gdy inną nie mógł. Wszystkie twoje bóle,
Polsko! on w pierś swą brał, jak szablą cięcia,

Zżył się z twym losem i z twoją mogiłą,
I jako strażnik grobu czekał czule
Twego Wskrzeszenia albo Wniebowzięcia.

Na tej placówce serce się nużyło,
Słabło... Więc kiedy, po tak długiej nocy,
Wszedł świt nad ziemię, podziwem przelekłą,
Już na tę radość zbrakło sercu mocy,
I — pękło!

I.

O Kościuszcze strofy.

I.

Szaraczek z zapadłego gdzieś na Litwie kąta;
Dusza czujna, bo ciągle ofiarnie się krząta,
Żeby, jak Chrystus chlebem, świat obdzielić sobą;
Myśl, jasna z wierzchu, wewnątrz posępna żalobą;
Na zawsze zachowana tężyzna kadecka;
Pod mowę dobroduszną, pod uśmiechem dziecka —
Genjusz.

II.

Czy po Sobieskim zamknęła się karta
Polskich tryumfów? Polska miałaż być wydarta
Z księgi świata, zwycięskim pisanej orężem?
Daleki był dzień jeszcze, w którym nie mąż z mężem,
Ale myśl z myślą walczyć miały o zwycięstwo:
Kraj ginąć musiał, gdyby wygasło w nim męstwo.
Nie zginął! Wstało słońce nad Raclawicami!

III.

Póki z Bogiem hebreje nie zerwali sami,
Bóg był z nimi. I słabła wrogów ich potęga.
Gdy wściekły filistyńczyk do gardła im sięga,
Bóg śle sługę swojego, co dzicz ową traci.
Byłże to olbrzym, siłacz, lew w ludzkiej postaci?

Nie! Pan, co skrytą drogą do celów swych zmierza,
Pogromcą zbrojnych szyków uczynił — pasterza.

Gdy Polsce, wycieńczonej przez długie katusze,
Przed zakuciem w kajdany, wróg skrępował duszę,
Gdy, jak owca, hańbiącem naznaczona piętnem,
Na rzeź szła w odrętwieniu prawie obojętnem —
Powstaje mąż, którego między swoje ucznie
Wziąłby Chrystus.

Zaprawdę, nie miecze i włócznie
Takim przystoją, ale miłościwe słowo —
Jednak wrogi poczuły w nim moc piorunową!

IV.

O straszne miejsce sądu! O Maciejowice!
Bóg w piekle tego boju zamknął tajemnicę
Kary i Odkupienia, klęsk i chwały razem.
Duchowi dany tryumf nad krwią i żelazem;
Nie zbójca, lecz ofiara ubrana w promienie...
Kościszka świat jest pełny — któż wie o Ferzenie?

V.

Czemu Polska tak żyzna? — Bo się krwi opila.
Kto klejnotów jej strażą? — Kopiec i Mogiła.
Jakie święci rocznice? — Wielkich mężów zgonu.
Jaki głos w niej nie milknie? — Pogrzebnego dzwonu.
Co jest zrębem, na którym stanie jej potęga?
Kościszkowski Manifest i chłopska siermięga.

VI.

Kościuszkę nie dość wielbić. Trzeba jego śladem
Do słońca iść, i w cnoty ubierać się djadem;
Trzeba, jak On, Ojczyznę, ukochaną wielce,
Mieć w każdym odetchnieniu, w każdej krwi kropelce;
Za wolność walczyć w domu i bić się za domem,
Gdy tyran po nią sięga spojrzeniem łakomem;
Być rozrzutnym w działaniu a oszczędnym w geście,
Myśl mieć, jak stal, hartowną, a serce niewieście;
Trzymać czyn swój na jaśni a osobę w cieniu;
Nagrody nie w oklaskach szukać, lecz w sumieniu,
Do aniołów o pomoc wołać w ciężkiej męce
I pamiętać, że Bóg się narodził — w stajence.

VII.

Pamięć o nim jest pieśnią wymowną choć krótką.
Nie brzmi ta pieśń wojenną jedynie pobudką.
Wysłuchajcie się — anielska płynie w niej muzyka,
Co ludziom dobrej woli drzwi nieba odmyka;
Przez dymów czarne chmury, przez krwawe opary
Pokazuje błękity, cel i kres ofiary,
I daje widzieć Polskę, co już z krzyża zdjęta.
Każdy tam dzień słoneczny, każda chwila święta!
Szable w pługi przekute, z dział odlano dzwony!
Kraj oddycha spokojem, wolny, uciszony;
U rodzinnego stołu nie braknie nikogo;
Wszystkie oczy się śmieją, nikt nie śledzi z trwogą,
Czy pod drzwi lub pod okno szpieg się nie podkrada;
A gdy w nocy, za szybą twarz zjawi się błąda,
Nie straszna żywym; zgadli, że z tamtego świata

Nawiedził ich męczeński duch ojca lub brata,
O jałmużnę pacierza prosząc, o westchnienie,
O łzę... Nią opatrzony, wraca między cienie.

Pieśń Kościuszkowską śpiewa echowemi słowy
Każdy łan polskiej ziemi, każdy bór sosnowy,
Każda chata podolska, w malw ubrana wianek,
Każdy, w świerków koronie, litewski zaścianek.
Usłyszycie ją w rannym skowronków hejnale,
W pacierzach, odmawianych przez wiślane fale,
W dzwonie kościelnym, dolę cieszącym wieśniaczą
I w wichrach, co wśród ruin nad trumnami płaczą,
Zakracze wam ją orzeł, co pod niebem lata,
Zanucą: kościół, pałac, dwór i kurna chata.

Tą pieśnią, co pokarmu własność ma i leku,
Jak chlebem, Polska żyje od półtora wieku!

VIII.

Módlmy się, bracia, społem.

— Patrz, Kościuszko, z nieba,
Jak my ciebie kochamy! jak nam ciebie trzeba!
Ty, którego oblicze, nie straszne nikomu,
Wyziera dziś z obrazka w każdym polskim domu,
Zestąp w wyżyn na padół, zasiądź w kole naszym.
Każesz? — wzniesiemy sztandar i szable przypaszem,
Wszyscyśmy, wybranemu posłuszni wodzowi,
Za Wiarę i Ojczyznę życie dać gotowi.
Przed męką i przed trumną nikt nie zmruży oka —
Czy może być Wolności cena zbyt wysoka?

Święto majowe.

W 125-tą rocznicę Konstytucji 3-go maja.

Półmrok.

Polska pod postacią niewiasty w żałobie, z kajdanami na rękach;
w smutnem zamyśleniu:

Jestżem ja Polską, czy też Polski marą?
Króla mi dano, czy z berłem upiora?
Wróg mi świat cały mgłą przesłonił szarą,
Mówi, żem nędzna i chora,
- Że mi umierać pora...

(Z mocą)

A ja mam w piersiach wulkan, we krwi wrzącą lawę,
Wiem, żem dopiero żyć zaczęła,
Ze mnie czekają wielkie dzieła!
Jak w Boga, wierzę w swą sprawę,
I prawda, słońcu równa, świeci mi niezłomnie,
Że przyszłość należy do mnie!

(Smutno)

Alem spętana...
Chytry wróg węzowymi opasał mnie sploty,
Jego żołdactwo bruki miast mych depce,
Wolność dusi w kolebce,
W serce wymierza groty,
Dumną, sławną, królewską rzuca na kolana...

(Z bólem)

Jednak zjadłość wroga
Jeszcze mi nie tak sroga,
Jak własnych synów mych zaślepienie...
Jam ukochała jednak swe dziecił
Równie mi drogi rycerz, co na wroga leci
Przez krew, śmierć i płomienie,
Pokój kupując bojem,
Jak ród potulny kmieci,
Karmiący innych ofiarą swych danin,
Pracą i znojem,
I jak ten syn mój trzeci
Starowny, przezorny mieszczanin,
Co dba, by sławna Rzeczpospolita,
Tak duchem wzniosła i mężna,
Była nie tylko orężna,
Lecz i bogata i syta...
Więc krwawi mi się serce,
Gdy widzę synów swych w rozterce!
Gdy starszy nie jest dla młodszych bratem,
Ale ciemieżcą i katem;
Gdy ten, co mocą cudu
Monarszym pyszny dziś majestatem,
Stanął zdala od ludu,
I marną przyjaźnią z wrogami
Ojczyzny honor plami...

(Ze smutkiem głębokim)

Jakże się dusza moja osmutnia...
Znikąd pomocy!
Wśród chmur ni skrawka błękitu!

(Załamuje ręce)

Ach! czyż nie będzie końca tej nocy?

Czy nie doczekam świtu?

*(Wrzawa licznych głosów, wzmagająca się stopniowo.
Horyzont zwolna się rozjaśnia)*

Boże! czyż nowa kłótnia?

Nowe narodu rozdarcie?

Nowa krew na dziejów mych karcie?...

(Okrzyk: „Król z narodem!”)

Co słyszę? Król z narodem?... O cudzie!

Zbudził się Polak w kochanku carycy!

Król zbratan z ludem odradza się w ludzie!

Światło rozbłysło w ciemnicy!

(Okrzyk: „Naród z królem!”)

Naród z królem?... O Stwórco! bądź błogosławiony!

Błogosławieństwo i wam, dni majowe!

Polska ma wodza, Polska ma głowę —

Nie chwyci jej wróg w szpony!

(Okrzyk: „Vivant wszystkie stany!”)

Cud! cud! Bratają się moje dzieci!...

Gdy ład i miłość w domu

Nie damy się nikomu,

Wszystkim wolność zaświeci!

*(Rozwidniło się zupełnie. Wiosenny, słoneczny dzień rozpościera
się nad typowo polskim pejzażem)*

Witaj dniu trzykroć święty! Dniu, co zorzą jasną

W monarszej wstałeś koronie!

Ja ciebie, jak dzieciątko, czułam zdawna w łonie,

Krwią ciebie karmiłam własną...

Gdy piorun huczy, wichry z Wschodu wieją,
Byłeś mi trwogą, bólem i nadzieją...
O, tu, pod sercem, twego serca bicie
Zdawało moje życie...
Z jakąż tęsknotą wyglądałam chwili,
Kiedy dzieciątko moje zakwili...
I oto mam cię, królewski mój ptaku!
Synu majowej odrodzenia doby!...
Więc — przecz odemnie hańby znaku!

(Rozrywa z wysiłkiem i odrzuca daleko krępujące łańcuchy)

Precz i ty, masko żałoby!

(Zrywa z ramion czarny płaszcz — ukazuje się we wspaniałym królewskim stroju. Ręce składa do modlitwy).

A Tobie, dawco wszechradości, Boże,
Co ludem swym z wyżyn kierując niebieskich,
Wiodłeś do zwycięstw Batorych, Sobieskich —
Tobie, z którego wyszła moc i sława
Jagiellów rodu, Łoktka, Bolesława —
Tobie — — to serce skruszone w pokorze,
Te łzy... modlitwa...

(Przyklęka, z wyciągnionymi przed siebie rękoma)

Raz mi się jeszcze ukaż, Zjawo święta —
Niech cię na wieki serce zapamięta!

*Apoteoza: Szlachcic, Mieszczanin, Kmieć.
Hymn za sceną.*

W a r s z a w a 1916 r.

Noc listopadowa.

Skąd przysłaś, nocy listopadowa?
Polak cię dotąd wspomina z dreszczem...
Dotąd tkwi w tobie moc piorunowa,
I błyskas z grobu okiem złowieszczem;
Polak przed tobą, jak syn przed matką...
Jednakże pyta — a lęk w nim gości:
— Kto ciebie zrodził, dziwna zagadko,
Anioł zmartwychwstań, czy demon złości?

Widzę cię, cichy jesienny zmroku,
Zapadający na senną ziemię...
Księżyc, jak w puchach skrył się w obłoku;
Wiatr dął, lecz ustał. Warszawa drzemie,
Ach! zbrodnią drzemka, gdy chwyta ludzi,
Co już spętani. — Któż ich obudzi?

Ha, tam, na krańcach, gdzie szyldwach ziewa,
Przed bramą, groźną dwugłowym ptakiem,
Nagłym się lękiem wzdrygnęły drzewa —
Rzekłbyś: duch górnym przeleciał szlakiem.
I wraz się owo wzdrygnięcie wznowi —
Okrzyk się zerwie: — Śmierć tyranowi!

To młodość krzyczy, to krew zawrzała,
Krew Chodkiewiczów, krew Zebrzydowskich;

To wskrzesły święte, prastare hasła,
Dane Polakom z wyroków boskich,
To się w swych wnukach, zdradą zabita,
Ocknęła wolna Rzeczpospolita!

Nic to, że krzyk ten cudu nie stworzy,
Że go raz jeszcze szatany zduszą.
On był i został. Gdy się otworzy
Grób i trup Polski złączy się z duszą,
Gdy wrócą dawnej chwały promienie,
To będzie tego krzyku wcielenie.

„Śmierć tyranowi!” — Lecz czy od miecza?
Od żądła zdrady? od jadu złości?
Blask zwalcza ciemność, bo jej zaprzecza;
W duszy grzesznika gdy Bóg zagości,
On grzech swój widzi w zwierciadle serca
I sam się win swych wiedzą uśmierca.

Błogosławiona moc, co w tej chwili
Wstrzymała rękę polską od ciosu!
Ciosem-by naród w przepaść wgrążyli,
Gdzie już i światła niema i głosu.
Przeklęty, zbrodnię zbrodnią kto płaci —
On wśród aniołów nie znajdzie braci!

Bóg nie dał spełnić się tej ohydzie:
Kobietę zesłał w okropnej chwili,
Polkę, za którą blask zawsze idzie.
Podnieśli dłonie — i opuścili.

Przed krwi łaknącym skryła orężem
Polka moskała — bo był jej mężem

Lecz święty protest już okrzyknięto.
Nie! Polak nie chce żyć w poniewierce!
Na toż wolnością wykarmion świętą?
Na toż niezłomne okazał serce,
Hord azjatyckich wstrzymując nawał,
By dzisiaj plecy pod knut oddawał?

A oważ zdobycz: Newel i Ula?
A Wielkie Łuki? A Smoleńsk wzięty?
A krwawy Kłuszyn? A car u króla
Z braćmi, wstydnemi związani pęty?
Próżno się rzucasz, kacie zażarty —
Z dziejów ni jednej nie wydrzesz karty!

„Śmierć tyranowi!” Strasznym go blaskiem
Cnoty i ofiar przerazić trzeba,
By, jak cudownym ruszon obrazkiem,
Zatęsknił z mroków swoich do nieba;
By zląkł się siebie, w proch upadł czołem,
Zczęził i z popiołów powstał — aniołem!

Wszystko to niosłaś w burzliwym łonie,
Listopadowa, pamiętna nocy.
Tyś znicz zatliła, co dotąd płonie,
Ty dotąd bronisz omdleć w niemocy.
Nocy szalona! nocy płomienna!
Jasnemi dniami byłaś brzemienna!

W litewskim dworze.

W litewskim dworze, pod świerków cieniem,
Dobrze się modlić, dobrze pracować,
Przed burzą życia dobrze się chować
I dobrze przeszłość budzić wspomnieniem.
Duchowi skrzydła w tej ciszy rosną
I z pęty się zrywa, jak strumień wiosną.

W litewskim dworze słodko a wonnie.
I miód tu pachnie i świeże siano,
Ściany tchną nawet wonią sośnianą,
A świerszczyk cyka w nich monotennie.
W dzień, jak harf granie, płyną pszczoły brzęki, —
Nocą z mogiłek wiatr niesie jęki...

W litewskim dworze pełno świętości:
Po ścianach wiszą wizje Grottgera;
Tu Platerówna z ramek wyziera,
Tam „Unja“ wskrzesza dzieło miłości;
I Męczenników widać oblicza
I Jowiszową twarz Mickiewicza.

W litewskim borze, jak w rajskiej głuszy,
Chciałbym przemarzyć, przetęsknić życie...
Lecz Bóg gdzieindziej: na skalnym szczycie,

Samotne gniazdo zwił dla mej duszy;
Stamtąd na ciche, litewskie strony
Patrzę — jak Adam na raj stracony...

W litewskim dworze, jesienną nocą,
W oknach widmowe jawią się twarze;
Dawni wracają tu gospodarze
Od rodzin swoich wzięci przemocą.
Czuła Litwinka bez zmysłów pada
Gdy przed nią stanie taka twarz błada.

W litewskim dworze więcej pacierzy
Mówią za zmarłych, niżli za żywych,
I do dalekich, do nieszczęśliwych
Najczęściej Litwin myślami bieży —
A gdy obecność dręczy, jak zmora,
Wzdycha do jutra, marzy o wczora...

Litwinka.

Litwinka śmiało patrzy w oczy
A jej źrenice — dwie krynice;
Niebo rozbłyska w ich przezroczy
I obłąkitnia całe lice.

A jednak zawsze czegoś chmurna,
Jak z popiołami żywa urna...
Ach! to z wysoka pada na nią
Cień mieczów, które kraj jej ranią!

Litwinki serce zda się zrazu
Zimne i twarde, jakby z głazu;
Lecz świętym ogniem gdy rozplonie,
Wieczność nie zgasi żaru w łonie.

Zniczowy ogień czasem nieci
Ukochanego głos mężczyzny;
Częściej — płacz więźnia, skarga dzieci,
Majestat Boga i Ojczyzny.

Litwinka uczuć nie roztrwania
W butnych okrzykach, w tkliwym jęku —
Lecz gdy wybije czas działania,
Odrazu staje z gromem w ręku.

Lubię Litwinkę, gdy o zmroku
Nuci pieśń tęskną o Aldonie;
I wówczas, kiedy z niebem w oku
Przed Ostrobramską splata dłonie;

Lubię Litwinkę prostą, sielską,
Gdy ptactwo karmi, pszczoł dogląda;
Lubię też wzniosłą i anielską,
Gdy krzyżem padnie, cudu żąda...

Wieszczów ideał i natchnienie,
Herojów matka, siostra, żona,
Sama też stroi skroń w promienie,
Bywa rycerska i natchniona.

Bóg, co jej marzeń stał się metą,
Dał jej hart duszy, wielkie serce —
Pochylmy czoła przed kobietą,
Pokłon oddajmy — bohaterce.

.

Litwinka, Polka — dwie siostrzyce...
Którą historii sąd pomniejszy?
Której duch większy, dostojniejszy?
Bóg tylko zna tę tajemnicę!

Na Białej Rusi.

Na białoruskich polach cisza senna leży,
 Jak przedporanna mgła;
A w białoruskich chatach płynie szept pacierzy
 I skrzypka tęsknie gra.
I słońca bledsze tu promienie,
I tajemnicze w twarzach cienie,
I jakieś ducha zatajenie,
 Co, mimo wszystko — trwa.

Białoruska dziewczyna nigdy nie wybucha,
 Rzadki też u niej śmiech;
Lecz ma w sobie silnego, upornego ducha
 Anioła niskich strzech.
A w obyczajach jej stateczność,
A w jej obejściu się serdeczność,
A gdy pokocha, to na wieczność,
 Bo łamać wiarę — grzech.

Białoruscy wieśniacy — smętni myśliciele;
 Ociężały ich krok;
Cisi w polu i w chacie, w karczmie i w kościele,
 Półsenny mają wzrok.

„Ty śpisz, a dola twoja rośnie”
Słyszać tu zimą i o wiośnie —
I tak, pół-rzewnie, pół-radośnie,
Płynie za rokiem rok.

Białoruskie sumienia nie lubią odmiany —
Wszak zawsze świat ten sam!
Słuchają co ksiądz mówi, co szepcą kurhany —
Ciągnie je tu i tam.
I słyszą Boga w wichrów chórze,
I w całej widzą go naturze;
A w rozerwanej gromem chmurze
Szukają w niebo bram.

O białoruska mowo! Twój wdzięk śpiewny budzi
Echa zamarłych lat...
Ty jesteś mową mir czyniących ludzi
Puszcz wonnych, jasnych chat.
Tam, gdzie słowiańskie włada słowo,
Ty dzwonisz nutą skowronkową,
O szczebiotliwa, słodka mowo,
Miodna, jak lipy kwiat!

O białoruska pieśni! Ty, jak kraj ten cały,
Posępny nosisz wdzięk;
Kurhany i mogiłki nutę ci podały
I kmieciów dawnych jęk...
Dziś kwitniesz dziko, w zapomnieniu —
Lecz gdy cię wzniesie mistrz w natchnieniu,
Świat uczci ciebie w zadziwieniu,
Bo nowy dasz mu dźwięk.

O białoruski ludu! Scichną kiedyś burze,
Które nam zsyła los;
Wówczas, w słowiańskich plemion chórze
I twój też zabrzmie głos.
A głos to będzie serafowy,
Nakształt ptaszącej rannej mowy,
Z serca płynący a nie z głowy,
Dzwonny, jak pełny kłos.

Młodość.

Jest młodość krwi — gwałtowna, samolubna.
Panami dla niej zmysły; rozmyśl — bezwolnym jeńcem.
Cofa się mąż rozważny przed szalonym młodzieńcem...
Jest młodość krwi — dla ducha często zgubna.
Tę młodość albo własny żar uśmierca,
Albo z niej wstaje bohater-morderca.
Jej butne nosili znaki:
Klemanty i Rawejlaki.

Jest młodość dusz — latami nie mierzona;
Ranną poezją świeża, choć nadeszło południe;
Często pod białym włosom rozkwitająca cudnie...
Jest młodość dusz — życia kwiat i korona.
Z niej chluba na dziś, w niej jutra nadzieja...
Ona to boskim ogniem Prometeja
Był daje narodu zniczom:
Kościuszkom i Mickiewiczom.

O Jasiu, żaunierzu,
który przez moskali na wojnę z japońcami
został wzięty.

(Na nutę białoruską).

I.

Słyszysz, słyszysz, moja matko?
Zagrali trębacze.
Raźnie grają, skocznie grają —
A czemuż ja płaczę?

Ach! jaka męka,
Boże mój, Boże,
Gdy serce pęka,
Pęknąć nie może!

Czy pamiętasz, moja matko,
Ranek tej niedzieli,
Kiedy mego mileńkiego
Do żaunierzy wzięli?

Ach! jaka męka itd.

Zatrąbili mu tak samo,
Za morze pognali;
Żółtych ludzi, dobrych ludzi
Zabijać kazali.

Ach! jaka męka itd.

Rok już mija jak zabija,
A sam żyje-ż jeszcze?
W dzień mię męczą czarne myśli,
W nocy sny złowieszczę.
Ach! jaka męka itd.

Przez czas wszystek, jeden listek
Pisał Jaś stęskniony:
„Pewnie już ja nie powrócę
W swe rodzinne strony“...
Ach! jaka męka itd.

Porodziłaś ty mnie, matko,
W dobry czas, w niedzielę —
Czemuż dola moja lichy?
Cierni w niej tak wiele?
Ach! jaka męka,
Boże mój, Boże,
Gdy serce pęka,
Pęknąć nie może!

II.

Pisali pisary z minami ważnemi,
Pisali co słyhać w żółtych ludzi ziemi —
Och, dolo! dolo!

Przyszła do nich Kasia — stoi na uboczu:
Z wielkiego wzruszenia nie śmie podnieść oczu —
Och, dolo! dolo!

Drżą nóżki pod Kasią, drży nieboga cała...
Wreszcie cichym głosem o Jasia spytała —
Och, dolo! dolo!

Kiedy wróci z wojny Jasio, jej kochanie?
Do księdza z nią pójdzie? przy ołtarzu stanie? —
Och, dolo! dolo!

Pisary słuchają, pilnie rozważają,
Potem w wielkich księgach karty przewracają —
Och, dolo! dolo!

Patrzą w wielkie księgi i w drobne papiery...
Przyszedł w końcu starszy ze swojej kwatery —
Och, dolo! dolo!

„Wracaj — mówi — Kasiu; już ty jesteś wolna,
Jak ptaszyna leśna, jak ptaszyna polna” —
Och, dolo! dolo!

„Już ty jesteś wolna od tej chwili:
Już cię żółci ludzie od ślubów zwolnili” —
Och, dolo! dolo!

„Na wielkim okręcie twój Jasieńko płynął;
Okręt zatopili — twój kochanek zginął”...
Och, dolo! dolo!

Słucha Kasia, słucha; ani ręką ruszy,
Ani okiem mrugnie, jakby już bez duszy —
Och, dolo! dolo!

Stoi Kasia, stoi w serdecznej żałobie,
Jako brzoza-płaczka na sierocym grobie...
Och, dolo! dolo!

III.

Szedł kawaljer do Kasi;
Przymila się i łasi...
Chodź, kalino; chodź, malino moja!

Za Jasieńka swojego
Masz mnie charoszeńkiego.
Chodź, kalino; chodź, malino moja!

Kwaterna moja blisko;
Tam bezpieczne schronisko.
Chodź, kalino; chodź malino moja!

Oprócz wiernego sługi,
Jeden pisar — ja drugi.
Chodź kalino; chodź, malino moja!

Pisara — w pilnej sprawie,
Sługę — po miód wyprawię...
Chodź, kalino; chodź, malino moja!

Miodem, winem napoję,
Pocieszę serce twoje...
Chodź, kalino; chodź, malino moja!

Kasia oczy otwiera,
Patrzy na kawaljera...
Chodź, kalino; chodź, malino moja!

Czarne brewki ściągnęła,
W oczy jemu plunęła..
— Masz kalinę; masz malinę swoją!

IV.

Oj! wyszłam za wrota,
Spojrzałam po niebie;
Spojrzałam po polu —
Niema, Jasiu, ciebie!

Idą ludzie drogą,
Idą dwiema, trzema —
Mojego Jasienia
Między nimi niema!

Niema i nie będzie
Do skończenia świata;
We łzach i sieroctwie
Upłyną me lata.

Ach, wy żółci ludzie!
Coście wy zrobili,
Żeście me kochanie
W morzu utopili?

Nie znaliście Jasia
Jaki był uczynny;
Nie znaleście Jasia
Jak był w tańcu zwinny.

Nie znaliście Jasia
Jak mile zabawiał;
Nie znaliście Jasia
Jak słodko przemawiał.

Żebym wybierała
I nadwybierała,
Nie było, nie będzie,
Jak ja Jasia miała.

Żeby ich tu było,
Jak wisien na wiszni,
Nie było, nie będzie,
Jak mój Jaś najmiłszy!

Żeby ich tu było
Jak na morzu piany,
Nie było, nie będzie,
Jak mój Jaś kochany!

Bóg was wszystkich skarze,
Co dziś macie chlubę,
Żeście Jasieniowi
Zgotowali zgubę...

Ach! zawsze z kimś można
Bawić się, weselić,
Lecz, gdy przyjdzie żalność,
Niema jej z kim dzielić!

Och, łzy niedzielone!
Łzy niewypłakane!
W sercu wy drążycie
Niezgojoną ranę!

•
W was siła wężowa,
Zabójcza, niebożna;
Wami się udusić,
Wami struć się można!...

— I przystąpi zcicha
Dobry, szczery człowiek;
Dobre słowo rzeknie,
Łzy obetrze z powiek...

„Przestań lamentować,
Niedoszła bratowo;
Ja obciążę serce
Twoich łez połową.

Wspólna nasza żalność,
Wspólna nasza strata:
Ty płaczesz kochanka,
A ja płaczę brata!...”

Lecz podwójny strumień
Spłynął falą całą —
I odżyło serce,
Co już zamierało.

V.

A czemu wy, dzwony, tak żałośnie gracie?
A czemu wy ludzie, tak smutno śpiewacie?
Nie grób przed Kasieńką, nie grób,
Jeno z miłym Kazimierkiem ślub.

A czemu wy, kawki, dzwonnice obsiadły?
A czemu wy, liczka panny młodej zbladły?
Nie grób przed Kasieńką itd.

Zagrały organy — głos ich rozplakany;
Zabrzękły obrączki, jak gdyby kajdany.
Nie grób itd.

Grom zahuczał w górze, choć słońce świeciło;
Ksiądz zaśpiewał rzewnie, jakby nad mogiłą.
Nie grób itd.

Biednemu Jasiowi wieczne odpocznienie!
A dla Kazimierka weselne życzenie!
Nie grób itd.

Rok po bracie płakał; rok bratową cieszył;
Po roku w zaloty do Kasi pośpieszył.
Nie grób itd.

Dobry Kazimierko, dobry i kochany,
W sercu go zapisać, przyłożyć do rany!
Nie grób itd.

On razem z Kasieńką Jasia oplakuje,
On i łyzy serdeczne z oczek jej zcałuje.
Nie grób itd.

Czemuż przy ich ślubie tyle smutnej grozy?
Czemu „płyną ślozy, jak rosa z bierozy?”
Nie grób itd.

Już stułą związani, już wyszli z kościoła,
Dziwny strach na licach, milczenie dokoła...
Nie grób itd.

Nagle Kasia krzyknie, jak człowiek gdy kona,
I na ręce drużek upada zemdlona...
Nie grób itd.

VI.

Straszny popłoch w tłumie; kobiety się skryły...
„Upiór! upiór!”... — słyhać. — „Jasio wstał z mogiły!”...
Czy ślub przed Kasieńką, czy ślub?
Czy też z miłym Kazimierkiem — grób?

Leci nędzny, czarny, z dzikiemi oczyma.
W ręce sztyk soldacki wyostrzony trzyma...
Czy ślub itd.

— Witaj, bratoweńko! Czyś mnie nie poznała?
Jestem ten, któremuś wierność przysięgała!
Czy ślub itd.

— Witaj i ty, bracie! Jednegośmy rodu...
Ot wam podarunki z Dalekiego Wschodu!...
Czy ślub itd.

Pchnął sztykiem raz, drugi... Pierzchnął orszak cały...
Z dwóch serc krew trysnęła — dwa trupy zostały...
Nie ślub przed Kasieńką, nie ślub
Jeno z miłym Kazimierkiem grób!

Biegną wiązać zbójcę, by się nie wywinął —
On już w ciemnym borze, jak wąż w trawie zginął...
Nie ślub przed Kasieńką, nie ślub
Jeno z miłym Kazimierkiem grób!

VII.

Szulał krąży, raby ptak
Pod gradową chmurą;
Wytknął szpony, rozwarł dziób,
Zajęczał ponuro.
Zamilcz, zamilcz, drapieżniku:
Straszne wróżby w twoim krzyku!

W łonie chmury głuchy trzask
I szumy złowieszcze...
Całą Litwę, całą Ruś
Przebiegają dreszcze...
A po siołach, pod tą tuczą,
Tak jak ona, ludzie huczą.

Ścichły tony smętnych dum
I skocznych kruciołek;

Nie drży pieśnią, podczas mszy
Prastary kościółek.
Po zaściankach za to gwary
I wiwatów wrzask i swary...

Słysząc tam drapieżną pieśń,
Co wyje i szczeka,
Jakby z krzykiem leciał czart
Po duszę człowieka.
Pieśń ta dzika, co przestrasza,
Niby nasza, a nie nasza...

Po wsiach chodzi straszny gość,
Żagiew buntu niesie,
Jego przejście znaczy ślad,
Jak ślad burzy w lesie.
Chłopcy, dzieci, przezeń śmieli,
Poszaleli, podziczeli.

Oszczędził go żółty lud,
Ubili — pisary:
W kancelarji, w stosie akt
Złożyli na mary...
Z duszą strutą, z sercem chorem,
Z tego grobu wstał — upiorem!

Pisałem na Białej Rusi w lipcu 1907 r.

(Szulak — jastrząb;
raby — pstry; — kruciołki — pieśni wesołe, taneczne).

II.

Duma o Janie Kochanowskim.

Janowi Lorentowiczowi przypisana.

Zajęczcie, flety! Lutnia niech zapłacze!
Ogień w kominie podsyć mi, chłopacze!
Płakać dziś o męża będę ogromnego:
Kochanowskiego!

On z Czarnolasu wojski sandomirski,
Człek niewojenny a wżdy bohatyrski,
Żałobą okrył cne Sarmatów plemię,
Rzucając ziemię.

Wiek czwarty idzie, odkąd go nie stało,
A żal wciąż większy trapi Polskę całą;
Ach! bo im dalej słońce, tem cień duży
Bardziej się dłuży.

Żal nam śpiewaka—żał i czasów owych,
Co go zrodziły, złotych, Augustowych,
Gdy Jagielloński Orzeł budził jeszcze
We wrogach dreszcze.

Eheu! Na długie, nazbyt długie lata
Splendor Korony zamroczyły *fata*;
Zwinął ptak skrzydła, i osierociała
Kaliopy skała.

Niemasz cię, Janie! Zgasłeś razem z tymi,
Za których sprawą duch w nas był olbrzymi.
Gdy was zabrakło, zniknęła i chwała,
Co kraj trzymała.

Niemasz cię, Janie! Choć inni poeci
Przyszli, a kilku wielkim blaskiem świeci,
Powtarza Polska tęskne narzekanie:
„Niemasz cię, Janie!”

Tak, choć posiadzie kto drogie puhary,
Za nic ma skarb ten, jeśli pozbył czary,
Którą przepijał za dni swej młodości
Do miłych gości.

A tyś jest młodość, tyś jest nasza wiosna,
Tyś borów naszych najwznioślejsza sosna,
Kwiat z naszej łąki, chleb z naszego żyta,
Nasz dzień, gdy świta.

Jest senatorska w twych rymach powaga,
Jest przy trefności rycerska odwaga;
Podczas i figlik wymknie ci się pusty —
Wždy bez rozpusty.

Od ciebie takż polska białogłowa
Raz pierwszy kształtne usłyszała słowa;
Uczyłeś rymem nie jeno jej gładkość,
Lecz i cnót rzadkość.

A jakież z ciebie ojciec! — z sercem matki!
Dla tego właśnie śmierć ci bierze dziatki,
Bo w czym się skupi wszystka serca władza,
Grom w to ugadza!

A słowo twoje jakże świeci cudnie,
Jasne i ciepłe, jak wiejskie południe,
Jak dzwon tętniące, gdy na modły wzywa,
Jak woda żywa.

A kiedy trzeba — jak gołąbka grucha,
A kiedy trzeba — ma ciężkość obucha,
A kiedy trzeba — jak szyszak ze stali
Słońcem się pali.

O Kochanowski! kochanie ty nasze!
Z Czarnego lasu królewskie ty ptaszę!
Czemuś swe skrzydła orłowe rozwinął,
W błękitach zginął?

Przez dwa stulecia od twego pogrzebu
Ani się porwie myśl czyja ku niebu;
Źle wam za Wazów — gorsze niosą czasy
Pijane Sasy.

Unię tyś widział — sprawę bożą, wielką,
Co jest miłości ludów głosicielką;
Ona zaś, rzekłeś, ma być „z ksiąg wyjęta
A w serca wzięta“.

Bo cóż pergamin, cóż gęste pieczęci
U pism wiszące — jeśli niema chęci?
Ludy niech wiążą się nie statutami,
Jeno sercami!

Wspaniałe błyszczą w księdze owej karty,
Zgoda niejeden kończy spór zażarty;
Dobroć, co z króla na kraj promienieje,
Ozłaca dzieje.

Na majestacie siadł król, przy nim Rada —
Księżę im Pruskie hołd lenniczy składa;
Serce w niem pychą zatwardziało mięknie —
W prochu uklęknie.

A gdy na oba upadło kolana,
Wyzna poddaństwo i zwierzchniego Pana;
Cześć zaprzysięże i wiarę znać wiecznie,
Chować statecznie.

O wy, przysięgi! Korzyścią z was całą:
Echo, co w dziejach po was pozostało.
Resztę wiatr wywiał z serca wężowego,
Do zdrań prędkiego.

Gienjusz narodu minął lat granicę,
Dał jeszcze Chocim, Wiedeń, Racławice...
Cóż stąd, gdy podczas błyskając tak jasno,
Polacy — gasną!

A gdy moc wraża wolny naród dławi,
I lutnie polskie dzwonią coraz słabiej;
Na obcą nutę śpiewacy je stroją,
Wzgardzili swoją.

Aż przyszedł, gromy i ogniste łony
Miecąc, on wielki, on przeplacony,
Co wstąpił hardo na skałę Kaliopy
Śladem twej stopy.

Ten, gdy strun dotknie, wszystkim się wydało,
Że ty grasz jeszcze — a to echo grało;
Lecz echo górskie, co przez skał załomy
Szept zmienia w gromy.

O! gdyby więcej lutni twej dziedziców,
Więcej klejnotu twojego szlachciców —
Jeszcze-by Polsce przez burze i słoty,
Błysnął wiek złoty!

Rocznica.

(W rocznicę śmierci Mickiewicza).

Zda mi się zawsze, że w tym hymnie bólu,
Co w dzień ów płynął, byłem jednym z tonów;
Że, jak paż w czerni, stałem przy swym królu,
Martwym dziedzicu widziadłowych tronów;
Dziecię, podwakroć wydzierane trumnie,
Na śmierć patrzyłem surowo i dumnie.

I dotąd w oczach, jak ognie djamentu,
Barwy szat wschodnich błyszczą mi tęczowo,
I dotąd uszy mam pełne lamentu,
Wielojęzyczną głoszonego mową,
I dotąd dusza, jak wzburzone morze,
Po tej się wizji wygładzić nie może...

Maciejowice — Lipsk — Wola — Warszawa —
W kagańcu usta — ramiona w łańcuchu...
O nawałnico siarczysta i krwawa!
O biedny Polski umęczonej ducha!
Nie dość-że było Fatalności dzieła,
Że otchłań jeszcze sternika schłoneła?

On! Słowiańszczyzny najcenniejsza perła,
Nasz wódz i król nasz (bo któż był od niego

Piastów korony godniejszy i berła?)
On! słup ognisty ludu błędzącego,
Sam, jak zbłąkany pielgrzym bez przytułku,
Na łożu śmierci — w tureckim zaułku!

Spokoju, serce!... Patrz: i On spokojny;
Cichy, jak dziecko, gdy zaśnie przy matce;
Ale królewski taki i dostoyny
W karmazynowej swej konfederatce,
Ze srebrnym, długim włosom na poduszce —
Podobny razem: orłu i Kościuszcze!

Skryło się słońce; Wschód się schował cały,
Gdy wskroś fal ludzkich trumna szła, jak łódka;
Rzekłbyś: litewski ranek osowiały,
Rzekłbyś: uliczki błotne Nowogródka;
A te dwa woły, do wozu wprzągnięte,
Czyż nie z obory Soplicowskiej wzięte?

Teraz duch dziecka niech się lęku zbędzie:
Ten skromny pochód to pochód zwycięzcy!
O!.. idą za nim w długim, barwnym rzędzie,
Strojni Dalmaci, Czarnogórcy mężczy,
Serb i Albańczyk wyniosłej urody —
Wszystkie podbite przez niego narody.

Czemże je podbił wieszcz? — Nie tem z pewnością
Czem Aleksandry, czem Napoleony.
On walczył tylko: pieśnią i miłością —
A jednak skupił przy sobie miljony.

Moc potężniejsza tkwiła w jego lutni,
Niżli ją mają tyrani okrutni.

I urósł dziecka duch — i orlim lotem
Przebył szlak, co go od naszych dni dzieli;
I dalej jeszcze, za zdarzeń obrotem
Pomknął, gdzie przyszłość mgławicą się bieli.
Stanie, gdy ludów zbratanie się bliźnie
Ujrzy powtórę — ale już w Ojczyźnie...

Posąg.

(Przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Warszawie).

Odmłodniało dziś Mazowsze,
Poweselał gród nad Wisłą;
Jakieś bielsze i różowsze
Światło im zabłysło.
Skąd ta rzeźkość? skąd ta jasność?
Niewidziani dawno gońce?
Kęs tu ziemi wziął na własność
Wieszcz — narodu słońce!

W zimny bronz go obleczone,
Zimny głaz ma za podstawę —
Ale w głazach iskry płoną,
Bronz topi się w lawę...
Śpieszą ze wszech stron przychodnie,
Każdy niesie po iskiecie...
Chcesz go, ludu, uczcić godnie?
„Miej serce — patrz w serce!”

Na posągu czole ciemnem
Niech zabłyszczą kwiaty wiosną,
Co nad Wisłą i nad Niemnem
I nad Wartą rosną.

Kwiatów, słońca i miłości
Trzeba temu posągowi;
Trzeba przed nim zmieść ciemności...
„W ciemnościach czart łowi.“

Spotkały się nad posągiem,
Co jest masztem wielkim grodu,
Ptaki, mknące sprzecznym ciągiem
Z Zachodu i Wschodu.
I zawładnął wnet gromadą
Ład, co krzepi i upiększa;
Myśl skupiła ptaki w stado:
„Jedność od dwóch większa.“

Nie zamknął się ten wieszcz w domu,
Nie zamknął się w marzeń niebie,
Lecz śle oczy, nakształt gromu,
Daleko przed siebie.
I my metą wzgardźmy krótką,
Duch nasz w przestrzeń niechaj sięga;
Pieśni tylko są pobudką,
„W działaniu potęga.“

Choć pokorny, myśli swoje
Ubrał w szumne, orle skrzydła,
I na straszne z wrogiem boje
Pchnął je bez wędzidła.
Ze słów jego płomień bucha,
Jaki nieśli w świat prorocy...
Zwalczmy, jak on, słabość ducha:
„Na moc trzeba mocy“.

Różne duchy, z różną siłą,
W różnolitym szły tu ciągu;
Potem wszystko się stopiło

W posąg — przy posągu.

Ale żyjąc jedną dobą,
Kierowany jednym gestem,
Każdy mówi: — Jestem sobą...

Posąg: — „Miljon jestem!”

O skarby Juliuszowe.

Obnosicie Juliusza, jak figurkę dziwaczną,
Wyrzezaną w malignie przez snycerza-waryata;
Každy z was frazesami, jak grzechotką, kołata;
Trwają spory do świtu, gdy z wieczora się zaczną.

— Muzyk... — Wieszcz... — Naśladowca... — Genialny,
[ale nie nasz...]
— Zbogacił polską mowę... — Nie zdziałał nic dla ducha...
— Jako pieśni słowiczej, jego rymów się słucha...
— I w życiu i w poezji pozujący wciąż scenarz...

Inni z was wieszcza krają, przez szkło żyłki w nim liczą,
Probują słów zapachu, śledzą myśli kolory;
Poczynają z poetą, jak uczone doktory,
Dla których trup bezbronną jest hyeny zdobyczą.

I takich też dostrzegam — a dobrze im się dzieje —
Co z tej trumny królewskiej zdzierając srebrne szczy, —
Nędzę swojej niewiedzy, swego ducha płód lichy,
W cudze bogactwa stroją — wstrętni grobów złodzieje!

Dla was wszystkich on czymże? — Celem, rzeczą,
[przedmiotem!]

Jakby tylko chciwości i żądzom na przynętę
Płonał ten duch anielski, biło to serce święte...
Jego natchnień proroczych bogacie się złotem.

Gdzież choć jeden — chodź jeden! — w anioła prze-
[mieniony?

Poety moc jest dotąd, jak grom drzemiący w chmurze;
Jutro może wybuchną wiosenne, twórcze burze —
Dziś tylko mądrych gadań słychać rozgwar skłócony.

Niechże to pokolenie, co dopiero w świat wchodzi,
Nie głową ale sercem serdecznego zrozumie;
Niech się nam Mistrz i Prorok w uczniów ukaże
[tłumie:
Może wy, o, najmłodsi, będziecie wreszcie — młodzi!

Jak kwiaty, pijcie słodką snów Juliuszowych rosę;
Jak dzieci, miejcie duszę na głos jego otwartą;
Jego ręce piszącej białą stańcie się kartą;
Przy nim się, jak owieczki, połóżcie srebrnowłose.

Patrzcie, jaki on prosty; — choć piorunami włada,
Choć mu skroń Mojżeszowe zdobią ognia wytryski.
Duchem mieszka w niebiesiech, a tak wszystkim jest
[bliski,
Taką ludzką szczerością świeci twarz jego blada...

Patrzcie, jak on Ojczyznę kocha! jakim jest synem!
Jak wzniośle błyskotkami pogardził światowemi!
Jak się modli gorąco o zbawienie swej ziemi!
Jak, od świtu na szańcach, wciąż walczy pieśnią-czynem!

Połamał swego ducha, jak Chrystus chleb na puszczy.
Ludziom, pod kształtem słowa, daje samego siebie.

„Kto pożywa mnie — mówi — ten będzie ze mną
[w niebie“...
I błogosławi cichej, zjednoczonej z nim tłuszczy.

Do tej komunii śpieszcie, z niej swym wszystkim
[nadziejom
Pokarm czyńcie — aż w skarby świętości tej zasobni,
Juliuszowi, jak bracia, staniecie się podobni —
A resztę pozostawcie mędrkom i faryzejom!

Felicjanowi Faleńskiemu.

Na twoim duchu zbroja usarska,
Szyk staropolski rządzi twem słowem,
Jak bachmat turski twój Pegaz parska,
Choć gwiazd nie sięga skrzydłem wichrowem;
Na ziemi walczysz, ciosom odkryty —
Żołnierz bez żołdu Rzeczpospolitej!

Surowa służba, a podczas twarda,
Przecie bark mocnych tobie nie łamie;
Już się niejedna skruszyła darda
O twoje piersi, o twoje ramię;
Mars nie opuszcza twojego lica,
Z ust ci nie schodzi „Bogurodzica“.

Służąc lat tyle pocziwej sławie,
Gdy ona tylko cię uwesela,
Aniś ty sięgał po pióro pawie,
Aniś się bawił lutnią minstrela;
Obca a miękka, pieściwa nuta:
Pieśń twoja każda z bronzu wykuta.

Któż, jak ty, zbroic chrzęsty odtworzy?
Kto, jak ty, burzą zagrzmi bitewną?
Niewieściuch rymu twego się trwoży,

4
Dla białek lutnię masz nie dość śpiewną;
Ale jest ducha twojego mowa,
Jak język dziadów naszych — spiżowa.

Polska ci światem i świat ci Polską...
Tu czy gdzieindziej, cokolwiek wzruszy
Twojego serca harfę eolską,
Zawsze Ojczyzna gra tobie w duszy.
W Egipcie nawet wraz z hebrejami
Płaczesz mężkami polaka łzami.

Lecz łza w twem oku to dziw nad dziwy;
Wszakżeś zaciągów dawnych żołnierzem
I umiesz kiełznać ból, choć dotkliwy,
Tężyzną myśli, walką, pacierzem;
Chronisz się czerwia, co duszę toczy
W wiekuistego światła roztoczy.

Dawnoś rozerwał krąg współczesności,
Nie żyjesz chwilą, pomijasz chwilę:
Dziś cię król Bolko w Psiem-polu gości,
Jutro zobaczą cię Termopile;
To pod Kannami trwasz z Hanibalem,
To się osmęcasz Jefity żalem.

I jest w twej pieśni, i w całym tobie
Coś ze śpiewaka Wieku złotego,
I z komandorów, czujących w grobie,
I z Bartłomieja Nowodworskiego,
Co w lat ośmdziesiąt, ptak srebrnopióry,
Z różańcem w ręce szedł walić mury.

Krzesełem-by ciebie uczcić w Senacie,
Płaszcz ci maltański dać na ramiona;
Niech-by od króla na majestacie
Skoń twoja była laurem wieńczona...
Ha! innej na to czekać nam pory —
Gdzie król?, gdzie wieńce?, gdzie senatory?

Pozostał naród... Biedny poeto!
Chciałżeś się oprzeć na tym narodzie?
Swych go nadziei uczynić metą? —
Cóżeś czuć musiał, gdy w dni zachodzie,
Kiedy się cisza wokół nas czyni,
Znagła-ś się, budząc, ujrzał — w pustyni!

Lecz cóż! Poeci to czarodzieje,
Nic ich rojeniom nie jest zaporą;
Im, jako dzieciom, wszystko się śmieje,
Za rzeczywistość sny swoje biorą,
Więc i przy tobie, klęczącym w zbroi,
Zawsze, z hołdami, snów orszak stoi.

Kogóż w nim niema! Są starzy woje
Piastowi, w zżartych pleśnią kolczugach,
Wyczarowani z mogił heroje,
Co wiek sterali w ciężkich posługach;
Jest Boleslaus, puszczyk ponocny,
Jest i Henricus, król w nogach mocny...

Tu Marysieńka urok zdradziecki
Rzuca na męża — wąż na lamparta —

Tam straszny wrogom dyszy Korecki,
A dalej — grecy, a dalej — Sparta,
I trup czcigodny Leonidasa,
I oczy ćmiąca Kartagi krasa...

A wyżej — chóry napół niebiańskie,
Dziewki biblijne liljowej bieli,
Mnichy, asceci i Święte Pańskie,
Nizszych i wyższych stopni anieli,
I Męczennica wznosi ramiona,
Mistycznym ślubem z Bogiem złączona...

III.

Spłowiełe kartki.

I.

Przeszłość — minęła; przyszłości niema;
Chwilę rękami trzymam obiema.
Chwila mi wszystkim; chwilą się poję...
O cudne oczy! rozkoszy zdroje!
O słodkie usta! marzony raju!
O piersi, wonne, jak łąka w maju!
Nieskończoności mija mnie fala;
Czas w miejscu stanął; troska śpi zdala.
Jestże już jesień? trwa jeszcze lato?
Widzęż raz jeszcze wiosnę bogatą?
Nic nie wiem — w błogą zapadłem ciszę
I tylko szept jej zdyszany słyszę:
„Ach! teraz umrzeć!“...

II.

O! jak duszę mi oplata,
O! jak nęci mnie i ludzi
Czar, co z twoich bije lic...
Poza tobą niema świata,
Poza tobą niema ludzi,
Poza tobą niema nic!

Wszystko w tobie się zamknęło,
Com napotkał dobrowieszcze
Wśród obłądnych życia dróg...
Wiem, żeś boskie arcydzieło —
Ale czasem myślę jeszcze,
Żeś — świat, niebo, wieczność, Bóg!

III.

Sen z jawą w dziwny wiąże się krzyż
W kochania tajemnej dobie:
W każdą noc prawie ty mi się śnisz,
To ja znów jawię się tobie.

Potem, co rano, bawi nas wieść
Z tęczowych krain marzenia —
A może jest w niej najgłębsza treść
Mego i twego istnienia.

Raz, rzeczywistość biorę za sen
I, żywa, zdasz mi się marą;
To znów uroki wyśnionych scen
Nad jawę przekładam szarą.

O droga! kiedyś, zasnąwszy znów
Po bytu przelotnej chwili,
Cali przejdziemy w krainę snów,
Lecz — komuż będziemy się śnili?

IV.

Płynie walczyk — fruwiąją spódnice...
— Mój jedyny, wyjdźmy do ogrodu...

— Wieczornego zapagnęłaś chłodu?
— Nie! — mam zwierzyć tobie tajemnicę...

O przepastne drogich serc skrytości,
Razem wabne i groźne, jak morze!
Bez wzruszenia któż wglądać w was może?
W was kolebka, w was i grób miłości!

— Wielka, wielka moja tajemnica...
Walczyk płynie łaskotliwą falą,
W mroku oczy tak dziwnie się palą,
Tak widmowo przerażają lica...

O czemś straszmem zaszeptały drzewa...
Walczyk płynie ognistym zygzakiem...
Pod kwitnącym, jaśminowym krzakiem
Zmysły krzyczą a dusza omdlewa...

Księżyc błysnął i w chmury się schował.
— Tajemnica?... ach! dzielże ją ze mną...
— Oto widzisz: miałam chęć tajemną,
Żebyś mnie tu... o, tu... pocałował!

V.

Resztę mi wiary katechizmowej
Mój anioł odebrał zdradnie.
(Doprawdy, jak na anioła,
Było to wcale nieładnie).

Już dawniej piekła myśl odrzuciłem
W przedwczesnem wierzeń rozbiciu:

Czyż może wierzyć w piekło po śmierci
Ten, kto przecierpiał je w życiu?

Dziś się i z wiarą w niebo rozstaję,
Chmurami skryte złotemi...
Pocóż mam szukać nieba w zaświatach
Gdym już je znalazł na ziemi?

VI.

Wiem jak kęsają tve zębki drobne
W miłosnej pieśczoży szale;
Ślady ich śladom ognia podobne,
Choć nie bolesne wcale.

We wszystkim ciebie słucham niezmiennie
Odkąd się stałem twym brańcem:
Gdy zechcesz chodzić mogę codziennie
Z takim na szyi różańcem.

Lecz może kiedy, w szaleństw godzinie,
Tve zębki wpiją się głębiej;
Krew z ran otwartych wypłynie falą,
Ciało śmiertelny dreszcz zziębi...

Ha, niech mię ciemność wieczna otoczy,
Niech otchłań pożre mnie pusta —
Bylebym, gasnąc, patrzył w tve oczy,
Bylebym twoje czuł usta!

VII.

Błogosławieni, co skończyli boje
I już odeszli, skąd się nie powraca...

Pomiędzy nami stoi *tamtych* dwoje
I oczy na nas w milczeniu obraca.

Zanim wieczności pochłona ich zdroje,
Jeszcze swych śladów szukają na ziemi...
Pomiędzy nami stoi *tamtych* dwoje
I patrzy na nas oczyma dziwnymi.

Jeszcze zazdrośni o miłości swoje,
Jeszcze ich trwożą istoty kochane...
Pomiędzy nami stoi *tamtych* dwoje
I nie drży — chociaż dostrzega odmianę.

Ty ból mój cieszysz, ja smutek twój koję,
Jesteśmy dobrzy i jesteśmy prawi...
Pomiędzy nami stoi *tamtych* dwoje
I nie złorzeczy nam, lecz — błogosławi.

VIII.

Kochamy się...

Jesteśmy tak szczęśliwi...

Czemuż nam pierś

Wznosi często westchnienie?

Czemuż do gwiazd

Leci nasze spojrzenie?

A własny śmiech

Nieraz drażni i dziwi?

Kochamy się...

A czemuż nam w rozmowie

Wciąż wyraz „śmierć”,

Jak dzwonu jęk powraca?

Czemuż się w mgłę
Rozwiewa myśli praca,
I czemu pieśń
Urywa się w połowie?

Kochamy się...
A skąd nam myśl okrutna
Przygniata mózg,
Serce ziębi i rani?
Ach! bośmy wraz:
Na szczytach i w otchłani!
Bo miłość cóż?
Sprawa święta i — smutna!

IX.

Odlatując, gdy skrzydła szerokie rozwinę,
Ciebie unieść- bym pragnął w wiecznych snów krainę.
Ty mi niebo zawarte dotknięciem rąk otworzysz,
Ty mi niebo, gdziekolwiek dostanę się — stworzysz,
Z tobą szczęście, którego język nie wypowie,
Z tobą jasność... Bez ciebie — mroki i pustkowie.
Niestety! gdy ja ducha przybiorę już postać,
Ty będziesz w tej nizinie musiała pozostać,
Na ziemi, więc — ziemianka; w ciele, więc — cielesna...
I śmierć moja, choć późna, będzie nazbyt wczesna!
Pókiśmy żyli razem, byliśmy jednością,
Ale świat psuje dusze życia przemiennością...
Kiedy już się zatrzśnie za mną śmierci brama,
* Ty może do mnie przyjdiesz — lecz, ach! czy ta sama?

Myśli — pszczoły.

Myśli moje, pszczoły złote,
Uskrzydłone przez tęsknotę,
Przy różanem licu twojem
Tłumnym, szumnym krążą rojem.

Jesteś dla nich miodu czarą,
Jesteś dla nich wina miarą,
Jesteś dla nich wonnym kwiatem,
Jesteś dla nich całym światem.

Myśli moje, robotnice,
Wyrojone przez tęsknicę,
Ust twych pojąc się rozkoszą,
Miód mi znoszą, smutek płoszą.

Ledwie błysnie świt na niebie,
Już się snują koło ciebie;
Pada senna cisza nocy
Jeszcze wrócić brak im mocy...

Myśli moje, wierne sługi
Sercem płacą serca długi —
W chór złączyły skrzydeł brzęki
W takt piosenki, dla podzięki.

Może kiedy, z nocną rosą,
W kropli miodu jad przyniosą;
Chociaż od nich śmierć mnie spotka,
Miła będzie śmierć, bo — słodka.

Biało . . . biało . . .

Biało... biało...
Ziemię całą
Łąbędzyowy okrył puch.
Wśród zamieci
Koń nasz leci
Bez szelestu, niby duch.

Goszczę w niebie,
Bo mam ciebie...
Cóż mi ludzie! cóż mi świat!
W śnieżnej bieli,
Jak w topieli,
Znikł ten łańcuch zrad i strat...

Coraz chyżej,
Coraz wyżej —
Słońce-ż to, czy Stwórca twarz?
Już my sami
Aniołami —
Skrzydeł rumak dostał nasz.

Lećmy, droga,
Aż do Boga
W jasność, w eter, w ciszę, w biel...

Co za nami,
 Łamie, plami —
 Nieskończoność, to nasz cel!

.

Słońce zgasło...
 Kruków hasło
 Płacze, zrywa marzeń nić.
 O boleści!
 Ten jęk wieści:
 Trzeba wracać — cierpieć — żyć!

a
 b
 a
 b
 a

a
 b
 a -
 b
 a -
 b
 a -
 b

Cień.

Z perłowej konchy twoje czoło,
Przejrzyście blade, nakszałt niell...
Jeszcze pod dachem tym wesoło
I myśl tam tańczy, strojna w biel;
Jednak chwilami, pośród lśnień,
Leciuchna chmurka skrzydła rozchyła —
Niby cień,
Niby cień lecącego motyla.

Niewiele ważę z konchy czoło,
Anim miłośnik zimnych niell;
Unikam domów, gdzie wesoło,
Drażnią mię myśli strojne w biel —
Ale bym życie dał bez drzeń,
I aż mnie kusi tej próby chwila,
Za ów cień.
Za ów cień lecącego motyla.

Twoje oczy.

Świat zapachniał mi wiosną...
Uciszyła się męka;
W sercu dzwoni piosenka
Nutą dawną, miłosną.
Znowu jestem bogaty
W barwy, wonie i blaski...
Któż jest dawcą tej łaski?
Twoje oczy — dwa kwiaty!

Znów pierś pełną mam ducha,
Wicher porwał mię z ziemi;
Piosenkami złotymi
Boskość ze mnie wybucha.
W podobłoczne gdzieś jazdy
Z orkanową mknę siłą...
Cóż mnie w grobie zbudziło?
Twoje oczy — dwie gwiazdy!

Cóż to? — Świat mi się zmienia...
Niebo mgłą się owiało;
Ziemski ogień wszedł w ciało,
Cała dusza z płomienia.
Usta drżą mi bezmownie,

Krew przelewa się warem...
Objęły mnie pożarem
Twoje oczy — dwie główne!

Ach! nie widać już nieba,
Zgasły ziemskie wulkany...
Żegnaj, raju nieznany;
Znów mi w grób się kłaść trzeba.
Mroku chłonie mnie morze,
W nicość spadam — zmartwiały...
Cios mi w serce zadały
Twoje oczy — dwa noże!

O dolcissima morte!

Dante.

Śmierć swoją dziś widziałem.,.
Przesłodkie miała oczy,
Gąszcz włosów nad czołem białem,
Uśmiech morderczo-uroczy.

Szeptala dobre słowa,
Co krzeszą skrę nadziei —
A mnie dzwoniła jej mowa
Piosenką Lorelei...

Złudzony wspomnień echem
Rozkosznem chociaż rani,
Za mową jej i uśmiechem
Staczałem się w głąb otchłani.

O śmierci słodka, miła!
O śmierci poetyczna!
Zawsze-ś ty mi się marzyła
Tak dobra, ach! i tak śliczna...

Bądź-że mi dziś pomocną...
Idę na twoje spotkanie —
Lecz prędko uderz i mocno:
Niech krótkie będzie konanie!

Siostrze miłosierdzia.

Drogi mi szelest twych kroków
I lekkie dotknięcie dłoni,
Kiedy dotykasz mych oków...

O siostrze miłosierdzia!

Chociaż gwiazd nie masz przy skroni,
Myślę, że schodzisz z obłoków,
I głos twój anielsko mi dzwoni...

O siostrze miłosierdzia!

Tam, towarzyszek twych grono
Szpitalne odwiedza głusze,
Pola, gdzie od krwi czerwono...

O siostrze miłosierdzia!

One ciała leczą katusze —
Ty dłoń kojącą, pieszczona
Na chorą kładziesz mi duszę...

O siostrze miłosierdzia!

Dusza i ciało.

Ty wiesz, że zanim hołd oddałem ciału,
Wpierw twoją piękną pokochałem duszę:
Ty wiesz, że złocić blaskiem ideału
Tylko rzecz boską wolno mi i — muszę;
I że na oczy tylko moje działa
Posąg z marmuru czy też posąg z ciała.

Ileż po świecie chodzi tych kamieni,
Które przyroda wyrzeźbiła cudnie!
Życiem się przecie gład nie rozplamieni,
Choć w krasę życia przybrany ułudnie.
Ujmiesz go? — spada ubarwiona maska —
O zimny granit pierś się twa roztrzaska!

Lecz w tobie dusza tworzy jedność z ciałem,
Przez nie, jak płomień przez lampę, przebłyska;
Jej świętość w czole wyraża się białem,
Dobroć ma w oczach dwa słodkie ogniska,
Pogoda myśli rozkwita w uśmiechu,
A w kształtów zgodzie — nieobecność grzechu.

Więc, dobroć ceniąc, chwalić muszę oczy;
Czcząc świętość, kornie schylam się przed czołem;
Ducha tłómaczem jest mi głos uroczy;
Harmonję myśli w kształtów rytm ująłem;

A że mnie nęci i beztroska pusta,
Wysławiam — świeże, śmiejące się usta.

Lecz, gdyby zgasły te przelotne blaski?
Gdyby rozpadło się, co były jednią?
Wówczas — tem szczerzej, bo bez zmysłów maski
I tem goręcej, bo już bezpośrednio,
Kochałbym, droga: twoje czucia młode,
Twą dobroć, świętość, i blask i pogodę!

Pod melodyę walca.

Tam, tam, gdzie w łunie gwiazd
Szalone płasają panny;
Tam, tam, gdzie kwiat i chwast
Srebrzą się łzami fontanny;
Tam, tam, na ducha zew,
Śnie mój, przyoblecz się w ciało:
Tam, tam, wśród mroku drzew,
Spłyń do mnie mgłą choćby białą...

Ach, ach, od tylu lat
Szukam cię w piekle i w niebie,
Ach, ach, pusty mi świat
I puste życie bez ciebie.
Ach, ach, niech raz już wiem,
Z oczyma od łez zgasłemi,
Ach, ach, że sen był snem...
Że się nie wcieli na ziemi!

Sliczna.

Jaka śliczna! jaka śliczna!
Idyliczna, seraficzna,
Cała słońcem napojona,
Wykwiecona, wypachniona,
I pieszczona i kochana...
Upaść przed nią na kolana,
Złożyć ręce, patrzeć w oczy,
Śnić na jawie sen uroczy,
I powtarzać do omdlenia
Póki życia, póki tchnienia,
Póki dusza poetyczna:
Jaka śliczna! jaka śliczna!

Czy ją anioł przyniósł z nieba,
Że, jak świętą, czcić ją trzeba?
Czy na gwiazdach urodzona,
Że do skrzydeł ma ramiona?
Czy ją słońce tu przysłało,
Że tak świeci duszą białą?
Ach! na ziemi pełnej mroku
Ona sama, z niebem w oku,
Z jasnym licem, z boskim czołem,
Gwiazdą, słońcem i aniołem!

Jaka śliczna! jaka śliczna!
Myśl z niej bije niebotyczna
O natchnieniu, o zbawieniu,
Wniebowzięciu, zachwyceniu,
O niknących w blasku szczytach,
O błękitach, zabłękitach...
Nie z naszego ten ptak gaju,
Zabłąkany chyba z raju —
Więc go czcimy pełni lęku,
By nie frunął nagle z ręku
By przed mgłami jesiennemi
Nie odwołał go Bóg z ziemi!

Później — wcześniej . . .

Trochę później, trochę wcześniej
(Liczby życia to nie zmienia)
Zgasną oczy, zmilkną pieśni,
Przyjdzie sen, co okamienia.
Dwa żywoty, jak dwie chwile,
Przemkną, znikną w trumien cieśni,
Zaśniem: ja i ty w mogile
Trochę później, trochę wcześniej....

Trochę wcześniej, trochę później
(Wieczność różnie rządzić zdolna)
Nasze więzy śmierć rozluźni,
Będę wolny — będziesz wolna.
Czyż ma serce mrzeć z bezsytu?
Nasycić je — niech nie bluźni...

.

Czemże w wiecznej księdze bytu
Trochę wcześniej, trochę później?

Tenebrosa.

Mrok ją spowijał. Przychodziła
W godzinie, kiedy ros djamenty
Na dachach skrzą się niby wiła
Mknąca przez leśnych drożyn skręty
Na schadzkę, której cel: mogiła.

Biała i zimna, bez uśmiechu
W rozwarte żądzą szła ramiona...
Zawrotnie straszna rozkosz grzechu
Skier nie budziła wśród jej łona,
Nie przyśpieszała jej oddechu.

Szał wielkomiejski, powściągany,
Mdlący głód zbytku i rozkoszy
I nocnych rojeń czarne piany,
Które świst fabryk rankiem płoszy —
To w niej gościło naprzemiany.

Imię jej było Tajemnica...
Mówiły o tem bez dnia oczy
I bez żywotnej barwy lica
I ten czar dzikich dusz zamroczy,
Co razem: straszy i zachwyca.

Śledzić jej kroki — zbytńia praca!
Może spływała w duchów łodzi?
Jak gwiazda była lub jak raca?...

.

O którejż wiemy: skąd pochodzi?
O którejż wiemy: dokąd wraca?

Śpiewasz . . .

Nie wiem czem jesteś: Nimfą czy Djaną?
Śpiewasz. Dlaczego twój śpiew tak mnie wzrusza?
Słucham go z piersią uczuciem wezbraną.
Ach! w nim niewieścia krzyczy głośno dusza!
Dusza przemienna i pełna rozdwojeń.
Cielesnych chęci, niebiańskich upojeń.

Śpiewasz. Łaskoczą mnie twej pieśni fale
I opasują węzami płomieni.
Oto omdlewam w półpogańskim szale,
Oto znów płonę, jak ludzie natchnieni.
Ścichłś — czar prysnął, jak bańka mydlana;
I znowu pytam: Nimfa czy też Djana?

Gdy myśl badawczą w twej pieśni zagłębię,
Znajome echa płyną, jak z otchłani...
Słowicze jęki, gruchania gołębie,
Skargi jelonków, tęskniących do łąni.
Wnętrzem swej duszy, wnętrzem swego ciała
O miłość wołasz — obca jej więc śmiała.

Nie sama wołasz. Twoją piersią krzyczy
Wola, co światy tworzy i uśmierca —

Stąd w twoim głosie tak wiele słodczy,
Na którą zmysły łowią się i serca.
Przekłeta słodczy! — w niej jest źródło bytu,
Zdradnej otchłani jęków, klątw i zgrzytu.

Lepiej ci Djaną być, bóstwem bezpłciowem,
Z góry na ziemię świecić lodowato,
Niż się, jak Nimfa, szczyścić serc połowem
I czarem wiosny przywoływać lato.
Po lecie idą mgieł jesiennych dymy,
A kwiat i owoc pochłania grób zimy.

Śpiewasz. Rozlicznie pieśń twoja się mieni:
To płynie biała, z wieńcem róż na czole,
To z Bogiem mówi, jak klasztor na ksieni,
To chochlikowe wyprawia swawole,
To Muzą czystą jest, to wielką damą...
Z tobą w mych myślach dzieje się to samo.

Tłumić pieśń młodą?... na usta kłaść pęta?...
Myśl na ofiarę wzdryga się tak trudną.
Ziemia, skąd wszelka zniknęła ponęta,
Byłaby bryłą zimną i bezludną...
Śpiewaj — niech losów pełni się konieczność;
Śpiewaj — skra życia tlić musi przez wieczność!

Przyjdę po ciebie.

Przyjdę po ciebie, jak po swoją własność.
Drgniesz wówczas cała, dotknięta mą dłonią.
I całą ciebie przejmie wnętrzna jasność
I żar, któremu dziewice się bronią;
I będziesz moją — na moje skinienie
Gotowa w niebo iść — albo w płomienie.

Przyjdę po ciebie o północnej porze,
Gdy już się zaćmi wzrok ludzkiego gminu,
A przyjdę w srebrnym księżycu kolorze,
Z duszącem tchnieniem róży i jaśminu;
Obłokiem ciebie gorącym owionę,
Do duszy wejdę przez oczy zbudzone.

Przyjdę po ciebie, jak po dobro swoje,
Żgubione kiedyś w życia zawierusze;
Ból twój uciszę, tęsknoty ukoję,
Pocałunkami łyżę w oczach osuszę —
I tak cię wezmę w miłosne ramiona,
Jak matka, dziecię tuląca do łona.

Przyjdę po ciebie mimo wszystkie straże!
Nikt mi się w drodze stanąć nie ośmieli.
I będzie cisza, kiedy się ukazę
Z rozkazem w oczach, w księżycowej bieli;
I wszystko zmilknie w przerażeniu głuchem,
Bo gdy po ciebie przyjdę, będę — duchem!

IV.

Przyroda.

Gdym w dniach wesela biegł do przyrody
Wracałem od niej weselszy jeszcze;
Miewała dla mnie wina i miody,
Potopy blasku i kwiatów deszcze,
I sama, kornie, uszczęśliwiona,
Szła mi w ramiona.

Lecz gdym się do niej zwrócił w ucisku,
O łzę błagając, żebrząc pociechy,
Ona mi dała, zamiast uścisku,
Szyderstwa słońca, kwiatów wyśmiechy...
Wszystkie-m w jej łonie znalazł uczucia
Oprócz współczucia.

Chmura.

I chmura żyje.

Patrz jak przez błękity,
Z wydętą piersią, z podniesioną głową,
Żegluję, w szatę ubrana godową,
W drogie bisiory, w pyszne aksamity,
I na podniebne wyniesiona szczyty,
Oblubienicą zda się lub królową.

I chmura marzy.

W lipcowe południe
Stanęła nagle bez ruchu, jak skała.
Rzekłbyś: poważną myślą ociężała.
I już barwami nie mieni się złudnie,
Ale jak mędrzec, gdy z szalów ochłódnie,
Jest, po kapłańsku, jednostajnie biała.

I chmura modli się.

Jak cherub złoty,
Gdy Boga blasku wieści zorza ranna,
Wraz z aniołami śpiewa mu: „Hosanna!”
A gdy odchodzi Bóg, pełna tęsknoty
Pierś ma złotymi zakrwawioną groty,
Jak na Gulgocie Boleściwą Panna.

I chmura tęskni.

Kiedy jej dokuczy

Niepokój głuchy, co ludziom sen kradnie,
Z towarzyszkami zmieszana bezładnie
Pędzi w dal, nakształt żórawianych kluczy,
Dopóki, wzięwszy kir deszczowej tuczy,
Łzami rzęsnemi na ziemię nie spadnie.

I chmura walczy ze swem przeznaczeniem,
Jak dusza, co się zbawienia wyrzekła;
Gromami bije w bramy nieba, piekła;
I za słuszności nikłym goni cieniem
Nalana mrokiem, burzą i płomieniem,
Po Prometejsku harda, dzika, wściekła...

Jezioro.

Gdy wiatr uderzy w trzcinę na jeziorze,

O Boże!

Zrywa się zaraz jęków zawierucha

I płacz ogromny wybucha.

Wtórzą mu rzewnie rozelkane fale,

I głośne żale

Rozwodzi wierzba sucha.

Gdy purpurowo zapalą się zorze,

O Boże!

Czarą krwi pełną staje się jezioro,

I trzciny kształt grotów biorą.

Wszędzie otwarte wzrok dostrzega rany,

Wrą krwawe piany,

Wierzba krew sączy korą.

Gdy spadną mroki o północnej porze,

O Boże!

W trzcinach szeleszczą szepty i chichoty,

Wiedźm i djablików zaloty;

W czeluść piekielną jezioro się zmienia

I duch z płomienia

Dziwne wyprawia psoty.

Lecz oto ranek rozlał światła morze...

O Boże!

Wszystko przycichło w modrych blaskach świtu...

Jezioro — szyba z błękitu,

Wśród oczeretów ptaszęce swawole,

Pacierz fal w dole,

Słońce i Bóg u szczytu.

Nokturn jesienny.

Zerwały wichry pęta. Rozuzdaną zgrają
Na ziemię lecąc, wyją, warczą i szczekają;
Z nimi mrok skrzydłem kruczem o ziemię łomoce.
Drżysz, ziemo! Straszne z tobą zwały się dziś moce

Mkną rojami widziadła,
Jak ptaki długoszyje;
Księżycą twarz wybladła
To błyska, to się kryje.
Martwa gałąź jabłoni,
Trupiej podobna dłoni,
O szybki chaty dzwoni...

Próżno się sił ostatkiem czepiasz, liściu, drzewa —
Każdej iskierce życia jesień *Requiem* śpiewa.
Liście suche i kwiaty, klejnoty i śmiecie
Zimna złudzeń grabarka we wspólny dół miecie.

Grzmi i płacze huragan
W czarnych mroków powodzi;
Biczami deszczu smagan,
Świat cały we łzach brodzi.
Z wszystkiego krasa spada,
Wszystkiemu dziś zagłada,
Wszystko łka: — Biada... biada...

W melancholji bezzrówna, w tęsknocie bezdenna,
Kochanko zrozpaczonych, o nocy jesienna,
Ty nie zwodzisz obietnic kłamanych powagą,
Lecz nam w boskiej brzydocie Prawdę jawisz nagą!
Cześć tobie, bezlitosna,
Za dar rozczarowania!
Cześć tobie, śmiercionośna,
Za moc, co kłam rozgania!
Ty prowadzisz najprościej,
Gdzie spokój wieczny gości,
Do grobu, do nicości...

Sam — na — sam z Przyrodą.

I.

Ja na las patrzę — las wpatrzył się we mnie;
Obaśmi siebie ciekawi.

Ja myślę: — Las mi zagadkę wyjawia...
Las czeka tegoż odemnie.

Ja mówię: — Lesie! trwasz od lat tysiąca
W głębokiej zawsze zadumie;
Dociekań Prawdy nikt ci nie zamąca —
Znajdź ją w gąszczów twych szumie?

Pożadam światła, zbłąkany wędrowiec,
Cel mój za mgłami wciąż gaśnie...
Ty, myślicielu, drogę mi opowiedz,
Z mroku wyprowadź na jaśnię!

Las mówi: Żyję, ale życiem skały,
Stwórca wkorzenił mnie w ziemię;
Szeregi wieków nademną przewiały;
Ja patrzę — słucham — i drzemię.

Poeto! myśl twa natchnieniem skrzydłata,
Gościsz to w piekle, to w niebie;

Do wrót wieczności pieśń twoja kołata —
Prawdy wyglądam od ciebie!

Słowa zagadki łakniemy daremnie,
Choć szatan żądzą jej kusi;
Ja na las patrzę, las wpatrzył się we mnie —
Obaśmi ślepi i głusi!

II.

To tylko wiem: że zapach róż,
I światło gwiazd, i groza burz,
I dobrych wdzięk, i szpetność złych
Chociaż w nich są — nie wyszły z nich.
Jest ktoś, co kwiatom barwy rozdaje,
Pieśniami ptaków napełnia gaje,
I trzyma rząd skowrończych gniazd,
Wichrów i burz, ludzi i gwiazd.

To tylko wiem: że stałych praw
Słucha i cedr i każda z traw;
Że w nich ma ster wszechświata bieg,
Chwianie się mórz i odpływ rzek;
Że się kształt żaden sam tu nie stawia,
Lecz go zdziałały przedwieczne prawa;
Że Twórca ich żyw, choć bez lic...
To tylko wiem — a więcej nic!

Modlitwa do Przyrody.

Przyrodo, matko nasza,
 Ukołysz nas!
Przyrodo, siostró nasza,
 Cierp z nami wraz!
Przyrodo, karmicielko,
 Patrz: oto łakniemy!
Przyrodo, cieszycielko,
 Utul, bo cierpiemy!

Ty, któraś jest gorącem wszystkiego poczęciem,
 Zapłodnij nas siłą!
Ty, któraś lodowatą wszystkiego zamknięciem,
 Ulecz choć moglią!
Silnych kochanko,
 My bólu mocarze!
Słabych tyranko,
 Korne nasze twarze!

Ty, co o Stwórcy mówisz od świtania,
 Staw go przed oczy!
Ty, w której wszystko Stwórcę nam zasłania,
 Wyjdź z swej zamroczy!

Wiary gasicielko,
Zaklnij nas w kamień!
Wiary głosicielko.
Głos w kształty zamień!

Przez mgły, co kryją twe cudne oblicze,
Przez puszczy olbrzymich szumy tajemnicze,
Przez pierwsze dreszcze zbudzonego serca,
Przez dreszcz ostatni, który nas uśmierca,
Przez pieśń słowika, milknącą o świcie,
Przez wilków, hyjen i szakali wycie,
Przez orły, rajske ptaki, stubarwne motyle,
Przez ropuchy, skorpjony, węże, krokodyły,
Błagamy ciebie,
Roztapiającą się w niebie.
Jeżeliś wyższej potęgi zakryciem,
Za cierpiącymi się wstaw,
A jeśli samowładnie wszelkiem rządysz życiem —
Zbaw!

v.

Bóg.

Jeszcze to serce mocno bije w łonie,
Jeszcze w tej piersi święty ogień płonie,
Jeszcze ten kołczan pełny ducha grotów...
— Szatanie, wystąp! Do boju jam gotów!

Chcesz mnie przerazić? Wziąłeś postać zwierza,
Skóra się twoja kolcami najeża;
Ziejesz płomieniem krwawym, jak posoka...
Patrz: stoję twardo — nie zmrużyłem oka.

Zmieniasz kształt. Kolos z członkami wielkimi
Ogromem pragniesz przybić mnie do ziemi
Próżno! Gdy górom równa twa potęga,
Jam wyżej urósł: duch mój nieba sięga.

Opadłeś — pełzasz. Takiś jak w Edenie,
Za grzech na wieczne dany pohańbienie;
Szukasz gdzie zębem uchwycić znienacka...
Stój! — tu krzyż. Drgnąłeś? Na nic twa zasadzka!

Porwał cię wściekły śmiech. — Widzę, kolego,
Że jasełkowe figle nie dla niego:
Pomówmy z sobą uczenie a szczerze...
— Jam prostak — rzekłem. — Jedno wiem; że wierzę.

Gniew ci zaiskrzył ślepie, kły odsłonił;
Całyś się wzrokiem w duszę moją włonił.
Dostrzegłem żądkło, pazury i rogi...
Z wysiłkiem wielkim krzyknę: — Psiel do nogi!

Jakaż przemiana! Kłaniasz mi się nisko;
Twój ślep, jak wodą zalane ognisko,
Dymi pokorą, psią wyraża tkliwość...
— Boli mnie — słyszę jęk — niesprawiedliwość!

Szatana ludzie malują tak czarno!
A on cóż? Ludziom niesie prawdy ziarno.
On ich ukochał, on służyć im pragnie,
Razem: pies wierny, juczny wół i jagnię.

Chcesz być szczęśliwy? — ze mną żyj jedynie.
Rozkaż: potężnym zaraz cię uczynię.
Pakt z tobą zawrę, nasycę cię jadłem;
Dam wiedzę, którą *Tamtemu* wykradłem.

On to nas różni! Gdy żyjemy zgodnie,
Braterstwo nasze uważa za zbrodnię.
Pocóż urągać ma nam moc złowroga?
Pomóż — pójdziemy zamordować Boga.

Tak rzekł, rogami wstrząsając zarazem...
Więc wzniosę ramię wzmocnione żelazem
I westchnę: — Panie! daj mi śmierci władzę:
Niechaj tę bestję uderzę i — zgładzę!

Skarżył się duch mój...

Skarżył się duch mój Stwórcy swemu:
— Tyleś miał kształtów, o Panie,
Kiedyś przyzywał mnie zdaleka
Na krótkie, doczesne tu trwanie;
Tyleś miał kształtów — czemuż, ach! czemu
Wcieliłeś mnie — w człowieka?

Ja, światła syn, harmonji i lotu.
Rozpęd biorący od gwiazd obrotu,
W bezkresie krążący śmiało —
O inne wołałem ciało!

Czemuś mi, Stwórco, nie dał skrzydeł?
Nie wcielił w orła, w wicher, w falę?...
Lecąc lub płynąc w lśniącym kryształ, —
Zdala od ziemskich mamideł,
Myślałbym, że lecę po niebie,
Obłoku trzymając się grzywy,
Że sięgam lotem w zaświaty,
Że cię ocieram o kraj Twej szaty...

Myśląc tak, byłbym szczęśliwy:
Czułbym się częstką Ciebie!

Rozpacz.

Wciąż dyszy przedemną
Smok zielonooki...
W noc najbardziej ciemną
Widzę ślizgie kłęby,
Widzę straszne zęby,
Widzę drżące boki.

Śnie — pocieszycielu,
Nie znam dziś już ciebie!
W tym okropnym celu,
Co ducha mi tłoczy,
Utopiłem oczy,
Utopiłem siebie.

I muszę wciąż wzrokiem
Krępować mordercę,
Bo nagłym by skokiem
Upadł mi na łono
I paszczą skrwawioną
Wyszarpał mi serce!

O!.. potwór ohydny
Znów sięga po duszę...
Dla innych nie widny,

Ze mnie krew wypija,
Udręcza, dobija
Przez strachu katusze.

Ani zdławię smoka
Ani go ugłaszczę...
Z zielonego oka
Groźbą do mnie zmierza:
— Nie znajdziesz przymierza!
Ha, prędzej!—tu!—w paszczę!

Ty wierzyłeś...

Ty wierzyłeś, Słoneczny! że wstęgą z płomienia
Wykreśli się na ziemi ślad twego przelotu;
Że słowo twoje każde zbudzi, na kształt grzmotu,
Silne duchy z gnuśności, słabe z odrętwienia;
Że ziemia, po twem przejściu, jak po przejściu wiosny,
Cała wzdrygnie się wielkim zmartwychwstania dre-
[szczem;
Że zaszumią za tobą i palmy i sosny,
Że spadniesz kwiatów, pieśni i błyskawic deszczem...

Ty wierzyłeś, Słoneczny! że w ostatniej chwili
Z hukiem burzy po ciebie zjedzie wóz Eljasza;
Że wstanie wichur wielki, co góry przenasza,
I porwie cię; i puszcze przed tobą pochyli;
Że niesionego w niebo z chmurnego padołu
Przeprowadzą przez błękit dwa potężne chóry:
Rozdzierający serce płacz żegnania z dołu,
Budzący echa światów hymn witalny z góry.

Oto konasz... I gdzież są twoje chorowody?
Nuda o sowich ślepiach siadła przy twem łożu,

Myśl twoja w strzępy zdarta, serce na rozdrożu,
Przed tobą — niewiadomość, za tobą — zawody.
Wyteżasz słuch: zgiełk jakiś rozlega się blisko.
Może tłum się rozżalił i płacze po tobie?
Nie! to szczeka i wyje ludzkie targowisko...
Wyło przy twojej kolebce — wyć będzie na grobie!

Dziwne serce.

Było jedno serce bardzo dziwne,
Jak u dziecka szczere i naiwne.
(Próżnym blaskiem ja go tu nie zdobię:
Już to serce oddawna śpi w grobie).

Świat, co dręczyć lubi małe ptaszki,
I z niem czynił okrutne igraszki —
Serce, zamiast odeprzeć je siłą,
Tylko drżało zcicha i krwawiło.

Z tej krwi płomień wzbił się, nakształt wstęgi,
Gwiazd sięgając rozchwianymi kręgi.
Ludzie ślepi cudu nie dojrzeli:
Wstęgę w niebo ponieśli anieli.

Głód życia.

Będiesz brnął ścieżką między przepaściami
Przez ogień, błoto, węże, głązy, ciernie;
Każdy krok naprzód krwią tve stopy splami,
W drodze myśl każda zwiedzie cię niewiernie.

Będiesz ofiarą głodu i pragnienia,
Mrozów i żarów, grzechu i ciemnoty;
Strawią cię duszy i ciała cierpienia,
Rozpacz zaciśnie wężowymi sploty.

Po tysiąc razy przeklniesz swe poczęcie,
Krwia będziesz płakał i śmierci przyzywał;
Po tysiąc razy zatoniesz w odmęcie,
Będiesz umierał i znowu ożywał.

W posępnem mroków każdodziennych morzu
Będiesz wciąż widział grób, co cię pochłonie,
Kościołrup będzie sypiał z tobą w łożu...
Czy jeszcze pragniesz życia?

— Zebrzę o nie!

Może kiedyś...

Może kiedyś, w tamtej stronie,
Gdziem zostawił stóp swych ślady,
Ptak odbity od gromady
Znajdę gniazdo — już po zgonie.

Smutki, żale, wstręty, zdrady,
Cierń, co ciągle tkwi w mem łonie
I rozpaczy czarne tonie
Tam mi będą, jak sen blady...

Piąć się nie chcę, marząc szczytnie,
Między świętych i niebiany;

Nie chcę wnikać, gdzie błękitnie
Świecą raju zimne ściany —

Niech mi tylko tu odkwitnie
Mego życia świt różany!

VI.

Nędzarze.

I.

Jak strasznie koła karet grzmią na miejskim bruku!

Zbolała moja głowa,
Gdzie trosk się tyle chowa,
Pęka od karet huku.
Pochwyił mnie wróg zdradą,
Jak czart się na mnie miota:
Lepkim policzkiem z błota
Twarz mi piętnuje bladą.
Złamany smutkiem, trwogą,
Gdy przejść muszę ulicę,
Z kozłów tłusci woźnice
Patrzą na mnie złowrogo.
Rozżarły się mą nędzą
Nawet końskie olbrzymy;
Z nozdrzy ciskając dymy,
Wprost na mnie, jak wichr lecą;
Jak wichr, jak strzała z łuku,
Dosięgnęły nędzarza —
Oto we krwi się tarza...

Jak strasznie koła karet grzmią na miejskim bruku!

II.

Czego wy chcecie odemnie,
Jaskrawe ślepie latarni?
Zgłębiacie duszy mej ciemnie?
Ciekawieście mych męczarni?

Przeklęte, ogniste kule!
Piekło was chyba zatliło,
By ciała i ducha bóle
Z większą dręczyły mnie siłą!

Z pracy i głodu osłabły
Ledwie się wlokę chodnikiem —
Nie urągajcie mi, djabły,
Ogniami, bogactwem, krzykiem!

Wolałbym puszcza iść głuchą...
Tam-by Noc matką mi była;
Zamknąłbym oko i ucho
I spałbym, jak śpi — mogiła.

III.

Jęklowie nocny wiatr na zbitej szybie gra;
Śmieje się w mroku czart — a może anioł łka...

Na izbę cichość padła.
Niema na stole jadła,
Niema ognia w kominie —
Rodzina z nędzy ginie.
W grobie dziś jej karmiciel,
Opiekun — druh — zbawiciel...
Wdowa siadła na ławie
Sama już martwa prawie:
Głowę wspiera o ścianę,
Ręce jej załamane...
A tam, w ciemnościach, nisko,
Czy to psie legowisko?
Łachmanów kupa zmięta —
Dzieci w niej, czy szczenięta?

Jęklowie nocny wiatr na zbitej szybie gra;
Śmieje się w mroku czart — a może anioł łka...

Po izbie, jak wiewiórka,
Kręci się starsza córka...

Szesnastu lat upały
Krew w niej, choć mróz, zagrzały.
To włosy sztucznie wicherzy,
To ubiór zrzuca lichszy,
Dostaje coś z kuferka
I w zwierciadełko zerką.
Wzrok jej się dziwnie żarzy,
Jak ogień, kwiat cmentarzy;
Chustkę podartą, starą,
Ścisnęła śpiłok parą,
Dłońmi trzyma obiema...
Drzwi trzasły — już jej niema.

Jękliwie nocny wiatr na zbitej szybie gra;
Śmieje się w mroku czart — a może anioł łka...

Świeć się, powszedni chlebie!
Ogniu, któryś jest w niebie!...
Dźwignął się cień kobiety;
I dzieci — dwa skielety —
Chłoną ciepło ogniska.
Do jada zęb im błyska.
Nagle matka krzyknęła:
„A ty skądś to wzięła?!“...
I topi wzrok w dziewczynie...
Chwila za chwilą płynie,
Ust nie otwiera młoda.
Więc matka w kąt, gdzie woda,
I chluśnie na płomienie,
Na garnek, na jedzenie...

Jęklowie nocny wiatr na zbitej szybie gra,
Śmieje się w mroku czart — a może anioł łka...

Skamieniała dziewczyna —
I stoi u komina
Bez spojrzenia, bez ruchu...
Burza straszna w jej duchu!
—Więc nie każda tu droga
Od Boga i do Boga?
Więc nad głód i nad dreszcze
Są rzeczy gorsze jeszcze?
Więc cierpieć trzeba z młodu,
A potem — zdychać z głodu?
Ha! piekielny zamęcie,
Skończę z tobą w momencie!..."
W szafie trucizna była;
Chwyciła — i wypila.

Jęklowie nocny wiatr na zbitej szybie gra;
Śmieje się w mroku czart — a może anioł łka.

IV.

Mówią, że w książkach świat mieści się drugi,
Piękniejszy od codziennego;
Cuda on wszystkie ma na swe usługi,
Niebo należy do niego...

Nie dla mnie ten świat, nie dla mnie!
Cóż, że moc jego rozumiem?
Chciałbym doń duchem przeniknąć —
Niestety! czytać nie umiem.

Mówią, że wiosna czar boski rozlewa,
Smutnym dodaje otuchy,
Że w niej nie tylko pól groby i drzewa,
Lecz zmartwychwstają i duchy...

Nie dla mnie ten czar, nie dla mnie!
W mej piersi wszystko zakrzepło —
Lodów apatji, zdziczenia
Wiosenne nie stopi ciepło.

Mówią, że w piękne, gwiazdziste noce
Na niebie widzi się Boga;
W koronie Stwórcy słońc milion migota,
A szatą Mu — mleczna droga...

Nie dla mnie ten Bóg, nie dla mnie!
Choć swoim chcę Go mieć szczerze:
Jak zwierzę za dnia się znojąc,
W nocy zasypiam, jak zwierzę.

Mówią, że miłość raj stwarza na ziemi,
Ducha podnosi i wzmacnia;
Szaleńców pęta więzami kwietnemi,
Złoczyńcę nawet uzacnia...

Nie dla mnie ten raj, nie dla mnie!
Wtrącony w wieczną ciemnicę,
W kobiecie mogę mieć tylko:
Współparję, wspólniewolnicę.

Ex - libris.

Po starą księgę sięgam ze wzruszeniem.
Zda mi się, że to nakryty kamieniem
Ojców proch. Czas ją poczerzył i kruszy,
Lecz pełna w sobie nieśmiertelnej duszy.

Ledwie otworzył żółkłe karty, słyszę:
Ktoś do mnie mówi poprzez wieków ciszę —
To Przeszłość, głosem czcigodnym pradziada,
Z myśli i czynów swoich się spowiada.

Jak ją odtrącić? jak nie dać jej ucha?
Wyrodny, kto swych praojców nie słucha!
Stara, szanowna, pyłem siwa księga
Cudownie Przeszłość z Obecnością sprzęga.

Stąd myśl krzepiąca, że w śmierci godzinie
Człowiek nie cały w cieniach grobu ginie;
Stąd wiara żywa w wieczność narodową,
Stąd moc, dzierżąca, zamiast miecza — słowo.

Cześć starym księgom; najmniejszy ich szczątek
Wart miejsca w świętej skarbnicy pamiątek!

Gitana.

Gitana jestem —
I sprawiam czary
Piosenką, gestem,
Dźwiękiem gitary.

Ojca nie znałam,
Matka — uciekła;
Kochanek mówi,
Żem rodem z piekła...

Ha, ha, ha, ha! — he, he, he, he!
Jakże to wszystko rozśmiesza mnie!

Wczoraj w Sewilli,
Jutro w Madrycie —
Ach, moi mili.
Cudneż to życie!

Tam o miłości
Powiastki snuję;
Tu jej słodczy
Sama kosztuję...

He, he, he, he! — hi, hi, hi, hi!
Z dam wielkich każda zazdrości mi!

Jak dzika róża
Serce Gitany:
Ciągła w niem burza,
Ciągłe odmiany.

Ktoś we mnie wczoraj
Widział anioła —
A dziś już z inną
Szedł do kościoła...

Hi, hi, hi, hi! — ho, ho, ho. ho!
Łza w mojem oku?... A toż znów co?!

Polifem.
(Z cyklu „Mity“).

Rozsiadł się olbrzym kudłaty na skale,
Której próg słońce wygryzają fale,
Szczyt zasie bodzie gwiazdy i obłoki —
Olbrzym zgarbiony, chmurny, jednooki,
Z Cyklopów rodu, co hardością słynie.
Z towarzyszami w kłótni żyje ninie,
Jak żubr-odyniec odbity od stada;
Jeno z wichrami, z nimfą Echem gada,
Grą na trzcinowej fletni tęskność koi;
Wzgardzon od Dafny, Galatei, Chloi,
Niekiedy westchnie, a wiatr to westchnienie
Chwyciwszy, z jękiem do Tartaru żenie.

Biedny Polifem! Fatum jemu dało
Tak wiele mocy — a szczęścia tak mało!
Pokochał Nimfę, jedną z wietrznic wielu,
Co jeno igry miewają na celu.
Próżno miłosne szepce jej zaklęcia,
Próżno, chcąc w mocne pochwycić objęcia,
Przywabia słodką syringi muzyką...
Łatwiej kozicę ułowi kto dziką,
Ściśnie wiatr, chmurę pochwyci na łono,
Niż siłą dziewczkę przytrzyma szaloną.

Kiedy samotność nad miarę go znudzi,
Porzucił szczyty, szedł pomiędzy ludzi.
W niepamięć puszcza swój rodowód boski,
Chce dzielić gminu uciechy i troski.
Do kmiecia zaszedł. Ledwie wstąpi w progi,
Niewiasta z dziećmi krzyk podnoszą srogi:
„Potwór!“ Nadbiega chłop, napół bez duszy,
Z widłami. Olbrzym w dwóch palcach je kruszy.
„Jam bóg“ — oświadcza. Padną na kolana,
Żebrząc o łaskę. Gdy ta jest im dana,
Pierzchnęli w lasy. Cyklop na swą skałę
Wrócił, by myśli trawić znów zuchwałe.

Nawiedzał później wspaniałe siedliska
Ziemijskich półbogów, gdzie woda wytryska
Z konew marmurowych, i po głazach dzwoni,
Pełno szkła blasków, rzadkich kwiatów woni,
A wszystko kształty przyrodzone zmienia:
Z drzew są ulice, bogowie z kamienia.
Tu, widząc w gąszczach swe krewne trytony.
Lanymi z bronzu pyszniące się człony,
Śmiało wszedł. Zaraz, w miłych osób kole,
Miejsce mu dano przy biesiadnym stole,
Jak się w gościnnym zawždy czyni domu.
Kurczył się, niechcąc zawadzać nikomu.
Lecz olbrzymowi ciężko walczyć z losem,
Gdy chce się rozśmiać — lwim zaryczał głosem,
Prostując barki, łbem stuknął w powałę,
Wina, miast szklanki, wypił wiadro całe,
Całego z różna pochłonał jelenia.

Chciał się stać mrówką — natura go zmienia
W smoka i w hydrę z rozwichrzoną kosą.
Tamci w śmiech. Potem gniewem się uniosą.
On takóŜ. Gdy szał porwał go przekłętą,
Stół, misy, dzbany, wszystko poszło w szczęty.
Uciekł, goniony psów zażartą zgrają;
Psie nawet głosy nad nim się znęcają.

W pierś mu żubrową wszczepiło Ananke
Serce gołębia. Chciałby mieć kochankę
Cichą, jak jagnię, jak powój przytulną,
Z którą myśl kaŹda jest zgodną i wspólną,
Od której kaŹda sprzeczką nie oddziela.
Pragnąłby takŜe zdobyć przyjaciela,
Połowę duszy, wodza i obrońcę,
Z sercem jak brylant, z umysłem jak słońce.
Próżno tych dziwów szukając dokoła,
Przezierał lasy, skalne groty, sioła,
Wnurzał się w morza pienne odmęty,
Darł się przez puszcę, gaj przebiegał święty...
Pierzchają przed nim, na kształt ptaków stada,
Płocha dryjada i hamadryjada.
Nimfy, trytonów zlewające wodą,
Skoczny faun, pasterz chodzący za trzodą,
Nawet, gdzie głazem gościniec ubity,
Centaur, końskimi tętniący kopyty.
Wszystkich w lęklivem oddaleniu trzyma,
Wszystkim na wstręcie — groźny wzrost olbrzyma.
DuŜość zwaŹając jego, muszą sami,
Z gniewem i wstydem, wyznać się — karłami.



TREŚĆ.

CZĘŚĆ I.

„Jeszcze Polska nie zginęła...”

Mity:

Pigmaljonowe kochanie

Orfeusz i Eurydyka

Dafne

Ikar

Polifem

Biblis

Niobe

Laokoon

Parki

Prozerpina

Wielki dzwon

Oszczercom Poezji

On jest

Kobieta

Na marginesie nekrologu

Spowiednikowi

Bóg

Alfa i omega

CZĘŚĆ II.

Przed jutrznią Wielkanocną

In hoc signo

„Trzeba na nowe tory...”

Dwugłos

Ż pacyfistą dialog
Marsz
Atak
Trzy strzały
Bracia
W szpitalu
Smutna choinka
„Gdy obcy wstąpi...”
Przed wielkim świętem
„Podjąłem grudkę ziemi...”
Złoty legion
Dnia... miesiąca... roku...
Po śnie
Zamiast wieńca na trumnę

I.

O Kościuszcze strofy
Święto majowe
Noc listopadowa
W litewskim dworze
Litwinka
Na Białej Rusi
Młodość
O Jasiu zaumierzu

II.

Duma o Janie Kochanowskim
Rocznica śmierci Mickiewicza
Posąg
O skarby Juljuszowe
Felicjanowi Faleńskiemu

III.

Spłowiełe kartki I,
II,

Spłowieale kartki	III,
"	" IV,
"	" V,
"	" VI,
"	" VII,
"	" VIII,
"	" IX,

Myśli—pszczoły

Biało... biało...

Cień

Twoje oczy

. *O dolcissima morte!*

Siostra miłosierdzia

Dusza i ciało

Pod melodję walca

Śliczna

Później—wcześniej...

Śpiewasz...

Przyjdę po ciebie

IV.

Przyroda

Chmura

Jezioro

Nokturn jesienny

Sam—na—sam z Przyrodą

Modlitwa do Przyrody

V.

Bój

Skarżył się duch mój..

Rozpacz

Ty wierzyłeś..

Ździwne serce
Głód życia
Może kiedyś...

VI.

Nędzarze I,
" II,
" III,
" IV,
Ex—libris
Gitana
Polifem

ERRATA

Rysunek drugi winien znajdować się przed trzecim rozdziałem drugiej części.

Wydawnictwa „Ostoi“.

WACŁAW BERENT

ŻYWE KAMIEŃ

„Ta książka powinna nazywać się, jak jedno z dzieł, o którym wspomina w powieści tej przeor klasztorny: „De periculis novissimorum temporum“. Berent jest jednym z najwytrwalszych badaczy współczesności polskiej, w trzech swych powieściach ukazał ją w trzech, jakże różnych, przekrojach. Książka o „Żywych Kamieniach“ jest czwartym przekrojem i to nie tylko polskiej współczesności. Nie trzeba się wstydzić dzieła tego przed całą myślącą Europą. Bo „in figmentis rerum dalekich“ opowiedziane jest tu wiernie, co przeżywa i w czym się łamie dusza całego kulturalnego zachodu. W książce tej są strony, pokrywające się ideowo z filozofią C. K. Cherstertona, ponoszące nas myślą ku religijnym i kulturalnym zmaganiom się współczesnej Francji, przywołujące na pamięć przepaściste wydarzenia Dostojewskiego. To jest książka na miarę Europy“.

PRQ ARTE.

W. HORZYCA.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

SZLAKIEM DUSZY POLSKIEJ

„Są tu więc jakby dwie oddzielne książki, złączone w jedną całość, nie przypadkowo, oczywiście, lecz z rozmysłem.

Pierwsza z nich tak dalece góruje jednak nad drugą, tak ją przytłacza wspaniałością obrazu i szerokim rozmachem koncepcji, tak nas rozgrzewa swoim optymizmem i zrodzonym z niego entuzjazmem i tak podnosi i krzepi nas wiarą w niezmiernie bogactwo polskiego dziedzictwa duchowego, że na drugą patrzymy już tylko jako na uzupełnienie, związane zbyt bezpośrednio z chwilą, wpłątane w jej polemiki i rozdziewiki, a przez to ciągnące nas bardziej ku ziemi, gdy tam — szybujemy w obłokach.

Z tego wysokiego lotu patrzy Przybyszewski na duszę polską. Wrażeń tych niepodobna streszczać. Można je było zacytować w ich momentach najważniejszych i tak uczyniliśmy. Analiza dzieła należy do krytyki, która wykracza poza ramy dziennika“.

KURJER WARSZAWSKI.

Z. DĘBICKI.

WYDAWNICTWA „OSTOI“

Spółki Wydawniczej w Poznaniu.

W. Berent: Żywe Kamienie	mk. 12,—
Fr. Rawita - Gawroński: Księżę Kozacki (zarys monograficzny) . . .	mk. 15,—
Fr. Jammes: Jabłuszko d'Anis, (okładka J. J. Wronieckiego)	mk. 3,—
O. W. Miłosz: Wybór Poezji. Z okładką i rysunkami J. J. Wronieckiego . . .	mk. 8,—
A. Nowaczyński: Szkice literackie	mk. 9,—
A. Nowaczyński: Pułaski w Ameryce (dramat)	mk. 6,50
Wł. Perzyński: Opowieści niezwykłe, z okładką i rysunk. J. J. Wronieckiego	mk. 4,80
W. St. Reymont: Przysięga, nowele	mk. 5,70
M. Sobieski: Na marginesie Dżon Ki- szota	mk. 6,—
M. Szykowski: Zarys rozwoju piś- miennictwa polskiego	mk. 7,60
R. Tagore: Gitanjali (przeł. J. Kaspro- wicz)	mk. 12,—

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314698



000-314698-00-0